

Rok XXI

Nr e-8(205)

Sierpień 2007

NA SZLAKU



**ODDZIAŁ WROCLAWSKI PTTK
OFERUJE DO SPRZEDAŻY
NASTĘPUJĄCE WŁASNE WYDANE KSIĄŻKI**

1	Góry Stołowe - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
2	Góry Złote i Łądek-Zdrój - Krzysztof R. Mazurski	16 zł
3	Karpacz (Krummhübel) und Umgebung - Krzysztof R. Mazurski	6 zł
4	Masyw Ślęży - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
5	Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie - Krzysztof R. Mazurski	15 zł
6	Miłość i dramaty królowej Marianny - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
7	Na południe od Tatr - Jacek Kolbuszowski	30 zł
8	Od Kolonii do Krakowa - Jerzy Piekalski	10 zł
9	Od ojcowizny do ojczyzny - praca zbiorowa	20 zł
10	Ziemia Kłodzka. Część południowa - Krzysztof R. Mazurski	5 zł
11	Była taka broń - Eugeniusz Rachwański	15 zł
12	Kowel - Eugeniusz Rachwański	20 zł
13	Krzemieniec i okolice - Janina Gusłowska	5 zł
14	Lwowskie wczesne dojrzewanie - Adam Dotzauer	16 zł
15	Lwów - wspomnienia lat wojennych - Janina Augustyn Puziewicz	20 zł
16	Międzygórze i okolice - Krzysztof R. Mazurski	8 zł
17	Mudrahela - Adam Holonek	5 zł
18	O wrocławskich tramwajach - Jerzy Maciejewski	12 zł
19	Przestrzenie i krajobrazy - Jacek Kolbuszowski	6 zł
20	Pudełko lwowskich wspomnień - Witold Szolginia	5 zł
21	Rowerem z Wrocławia - Jerzy Maciejewski	13 zł
22	Sudety czeskie - Marek Staffa	2 zł
23	Sułów i okolice - Roman Jaśniewski	12 zł
24	Śląski Labirynt Krajoznawczy - red. Julian Janczak, nr 3	10 zł
25	j. w., nr 4	6 zł
26	j. w., nr 5	6 zł
27	j. w., nr 6	10 zł
28	j. w., red. Krzysztof R. Mazurski, nr 8	12 zł
29	Tamten Lwów V - Witold Szolginia	6 zł
30	Tamten Lwów VI - Witold Szolginia	6 zł
31	Tamten Lwów VIII - Witold Szolginia	8 zł
32	Zapach monsunu - Maria Sawicka	15 zł
33	1000 lat wrocławskiego sportu - Ordyłowski, Ostrowski	12 zł
34	Futbolistka - Mirosław Olędzki	10 zł
35	Geografia turystyczna Sudetów - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
36	Moja medycyna - Augustyna Puziewicz	30 zł
37	Narciarstwo wędrownicze - Konrad Ostańkiewicz	10 zł
38	Pielgrzymy 2001	20 zł
39	Przez światy poetyckie Salomei Kapuścińskiej - Mirosław Olędzki	15 zł
40	Taki świat t. 1-3 - Andrzej Bartyński	30 zł
41	Wiersze dla dzieci - Anna Surmach	5 zł
42	Wróc, bo czereśnie - Andrzej Bartyński	10 zł
43	Znakowane szlaki w Karpatach Polskich - Andrzej Matuszczyk	14 zł

Przy sprzedaży wysyłkowej zostanie doliczona opłata pocztowa
w zależności od ilości zamówionych pozycji.

Wszelkich informacji co do oferty udziela biuro

Oddziału Wrocławskiego PTTK

Rynek-Ratusz 11/12

50-106 Wrocław

Tel. 0713430344, e-mail: biuro@pttk.wroclaw.pl

NA SZLAKU

SPIS TREŚCI

<i>Drodzy Czytelnicy!</i>	<i>Naczelnny</i>	str. 2
<i>Z naszego regionu</i>		
Terra Sigillata – Ziemia Pieczętna...	<i>Janusz Prociński</i>	str. 2
Piękne i dziwne nazwy... (2)	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	str. 3
<i>Ojczyste szlaki</i>		
Warmińskie kapliczki czyli piękno niedoceniane	<i>Tomasz Sowiński</i>	str. 6
Tatrzański debiut	<i>Jerzy Głoskowski</i>	str. 8
<i>Trasa miesiąca</i>		
Rowerem wzdłuż Wisły	<i>Juliusz Wystouch</i>	str. 14
<i>Globtroter</i>		
Spotkanie z Irlandią	<i>Marta Kukuła</i>	str. 16
Bornholmskie wędrowanie	<i>Elżbieta Wójcik</i>	str. 19
Fińskie fotosafari	<i>Fiński Ośrodek IT</i>	str. 20
Co nowego w Wiedniu	<i>Maria Pilich</i>	str. 21
Terakotowa armia w Wiedniu	<i>AOIT</i>	str. 22
<i>Z turystycznych kręgów</i>		
Nowe atrakcje turystyczne Warszawy	<i>Stanisław Dziuba</i>	str. 22
Wieści z Bractwa Krzyżowców	<i>Andrzej Scheer</i>	str. 23
Program Rodzinnego Spotkania Na szlaku	<i>Juliusz Wystouch</i>	str. 25
Imprezy	<i>IT Świdnica</i>	str. 25
<i>Poradnik turysty</i>		
Letnia wyprawa	<i>Juliusz Wystouch</i>	str. 26
<i>Na kolekcjonerskim szlaku</i>		
Krajoznawcze odznaki kolekcjonerskie (3)	<i>Henryk Paciej</i>	str. 28
<i>Recenzje, nowości</i>		
Wydawnictwo Carta Blanca	<i>Przemysław Pilich</i>	str. 30
Przyjaciel Międzygórza	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	str. 31
<i>Listy, opinie, dyskusje</i>		
Moje pożegnanie ze schroniskiem	<i>Juliusz Wystouch</i>	str. 32
<i>Redakcja</i>		str. 34

Na okładce:

Góry Rarotongi (Wyspy Cooka). Fot. K. R. Mazurski.
 W numerze lipcowym zabrakło podpisu zdjęcia okładkowego:
 Skała Vingerklip w Namibii. Fot. K. R. Mazurski.

DRODZY CZYTELNICY!

Sezon wakacyjno-turystyczny w pełni i choć nie wszyscy zapewne mogą zeń skorzystać, to jednak większość wyruszyła na szlaki lądowe, wodne, powietrzne i jakie tam jeszcze są. Spotkaliśmy się lub spotkamy się jeszcze na szlakach, oby bezpiecznych i ciekawych. Za nami ciężkie miesiące, jako że codzienne życie i problemy polityczno-społeczne w naszym kraju stwarzają szereg trudności, od których uciekamy w góry, lasy, nad wodę. Życzymy Wam wszystkim udanego sezonu, wspaniałych przeżyć i wypoczynku. Mam nadzieję, że otrzymamy sporo materiałów z wyjazdów i wędrówek nieznanymi lub mało znanymi terenami. Chętnie opublikujemy to, co odkryliście przede wszystkim w naszym kraju, na ojczystych szlakach, które przecież są tak piękne.

Jakoś udaje nam się w tym skromnym gronie co miesiąc pokazać w internecie nowe wydanie, nowe tereny i obiekty, przekazywać ciekawe informacje. Robimy to społecznie, sami ciągle się uczymy, więc prosimy o wyrozumiałość w przypadku potknięć. Nie wychodzi nam otwarcie Forum, ale proszę wierzyć – to zależy nie tylko od nas. Staramy się ulepszać poszczególne strony witryny, ale czekamy też na wieści wyprzedzające o imprezach, które mogą zainteresować czytelników.

Dotarły do nas sygnały, że niektóre osoby – pragnące posiadać NS w formie drukowanej, nie mogą sobie poradzić z tą procedurą. Póki co, musimy pracować w formacie PDF. Niniejszy numer jest pierwszym, w którym są widoczne paski narzędziowe. Jeżeli ktoś ma trudności z wykonaniem tego bezpośrednio z PDF, to można inaczej. Oto więc recepta ‘krok po kroku’:

kombinacja klawiszy Ctrl+P - 99% programów działających pod systemem Windows, traktuje ten skrót klawiaturowy jako Drukuj. Możemy wybrać strony do drukowania lub drukować każdą stronę osobno (každorazowo Ctrl+P).

Powodzenia!

Naczelnny



TERRA SIGILLATA – ZIEMIA PIECZĘTNA (GLINKA LECZNICZA)

Ziemiolecznictwo było znane już w starożytności: Grecja – Hipokrates, Cesarstwo Rzymskie – Galen. Glinkę wydobywano na wyspach Lemnos, Samos, Chios, w średniowieczu zaś na Malcie, we Włoszech i na terenie Ziemi Świętej. Właściwości glinki na nowo odkrył lekarz strzegomski JOHANNES SCULTETUS MONTANUS (JOHANES SCHULTZ) w 1568 r. Jako przyboczny medyk cesarza opisał właściwości tego cudownego leku w książeczce wydanej w 1597 r. we Wrocławiu. Glinka z Góry św. Jerzego w Strzegomiu miała leczyć ospałość, letarg, cholera, czerwonkę, rzeżączkę, biegunkę i zaparcia, spazmy, zawroty głowy, dzwonięcie w uszach, padaczkę, paraliż, ośpienie, plucie krwią, bóle zębów, hemoroidy, opuchliny płucne, palpacje serca, chorobę morską, parchy, podagrę, artretyzm. Glinka była rozpowszechniana w postaci krążków o wymiarach 23-36 mm, grubości 7-11 mm i dostępna w aptekach do końca XIX w. Garncarze strzegomscy wyrabiali z niej kufle i dzbanki (najstarsze -1610 r.).

Popyt spowodował, iż na wzorcach strzegomskich rozpoczęto produkcję w NEMECKO JABLONE (niem. Gabel) w Czechach. Właściciel, hr. Heinrich Wolf Berecka, uzyskał cesarski przywilej wykorzystania glinki do produkcji ceramiki z herbem miasta STRZEGOMIA.

Zastosowanie glinki według dawnych recept było następujące: na wszelkie choroby zakaźne, odtrutka na trucizny, specyfik gojący rany (po ukąszeniu zwierząt i owadów), wzmacnia serce.

Ziemia Pieczętna Niebieska pochodząca z Złotoryi to z kolei działanie przeczyszczające, oczyszczała krew, leczyła z melancholii, zalecano chorym na umyśle.

Receptura dr. J. Achillesa na niemoc i zatrucie była z kolei następująca:

1. Ziemia Pieczętna 1/2 łuta
2. Oryginalny Szafran 1 łut 1łut wrocławski = 12,71 g
3. Aloes 6 łutów 1łut = 1/32 funta
4. Mirra 2 łuty 1funt = 48 skojców = 453,59 g (ang.)
5. Mastyks 1 łut 1funt warszawski = 477g.

Mastyks to żywica naturalna o barwie żółtej do zielonej, balsamicznym zapachu, gorzkim smaku – z drzewa mastykowego. Mirra – wonna żywica z drzewa balsamowego (Arabia, Afryka). Joachim Achilles urodził się około 1500 r. w Argen (Szwabia), był doktorem filozofii i medycyny. W październiku 1543 r. kupił w Świdnicy aptekę, właśnie on ponad pięćdziesięciu lat wcześniej wykorzystał glinę według ww. recept. Dnia 25.03.1547 r. Straż Miejska strzelając na wiat spowodowała pożar części miasta. J. Achilles zwrócił się do władz miejskich o opiekę nad pogorzalcami. Nastąpił zatarg, za który lekarz został obwiniony i wtrącony do więzienia. Po czterech miesiącach wypuszczony, ale po przymuszeniu do sprzedaży swoich dwóch aptek (21.09.1547 r.). Do końca życia był on cenionym lekarzem, zmarł 4.12.1555 r. i został pochowany w kościele parafialnym (św. Stanisława i Waclawa) w Świdnicy, gdzie wmurowano jego epitafium.

Badania chemiczne glinki typu MONTMORILLONITU w latach 70. XX w. wykonali W. Kowalski i A. Wiewióra z Muzeum Ziemi w Warszawie. Jest to glina składająca się z materiałów ilastych, ma właściwości absorbcyjne, wchłania wodę i inne substancje, działa ściągająco na ranach.

Janusz Prociński

PIĘKNE I DZIWNE NAZWY ZACHODNIEJ CZEŚCI KOTLINY KAMIENNOGÓRSKIEJ

(część 2.)

BIAŁKA. Nazwa Białka została urzędowo ustalona dla potoku wypływającego na SW zboczu Czarnych Toczysk, co wyraźnie wskazuje, że kierowano się nazwą miejscowości Nowa Białka, przez którą ciek zmierza na prawy brzeg Świdnika, zamiast nazwą miejsca jej wypływu (Czarnka?). Obecnie pojawiła się potoczna nazwa 'Białka' dla krótszego cieku płynącego przez wieś Stara Białka. Należy ją poprawić na nazwę złożoną (zestawienie): Mała Białka, przez dodanie członu odróżniającego – 'Mała'. Białka (Weissbach) płynęła doliną zwaną Weissbachtal, a Mała Białka nosiła niemiecką nazwę Weisse Floss (Biały Pław). Hydronim 'Białka' jest nazwą ponowioną z rzeki Białka, prawego dopływu Dunajca. Nazwa została utworzona za pomocą przyrostka '-ka' od przymiotnika 'biały' i oznaczała rzekę o wodach czystych i jasnym podłożu, (M. Malec SENGP).

CHEŁMCZYK to charakterystyczny szczyt o wysokości 776 m we Wzgórzach Lubawskich, pomiędzy dolinami Bachorzyny i Białki, stanowiący początek krótkiego grzbietu przez Świerczynę (720 m) i Rudzianki (637 m). Nazwa niemiecka 'Beer-B.' pochodzi od 'beere' – jagoda. A więc 'Jagodnie'. Skąd Chełmczyk? Chyba stąd, że niedaleką górę nad Paczkowicami w Rudawach Janowickich ochrzczono wbrew realiom 'Jagodą'. Góra (743 m) nosiła niemiecką nazwę 'Hedwigsberg', co nieomylnie wskazuje na św. Jadwigę Śląską.

Pozornie jest wszystko w porządku, gdyż Jagoda, Jagódka to imiona młodej Jadzi, ale Wysoka Komisja nie mogła strawić nazwy 'Góra św. Jadwigi', dlatego wybrała kamuflaż. W ten sposób zabrakło jej miejsca dla prawdziwej jagody, która została ładnym Chełmczykiem. Chełmczyk jest nazwą topograficzną w formie deminutywnej, utworzoną formantem '-yk', charakterystycznym dla nazw osobowych, od apelatywu 'chełm'. Jagodne to nazwa topograficzna utworzona od apelatywu miejscowej flory formantem '-ne'.

CZARNE TOCZYSKA są wzniesieniem (694 m) o nietypowym kwadratowym kształcie, połączonym z masywem Ogorzeleckiego Lasu na jego wschodnim krańcu. Zastrzeżenie wywołuje umiejscowienie wzniesienia na mapach PLAN-u, gdzie przedstawiono je jako... rozdroże na wysokości 679 m! Na SW zboczu Czarnych Toczysk wypływa Białka, prawy dopływ Świdnika, która opływa obłe zbocza wzniesienia od zachodu i północy. W zakolu Białki wznoszą się Czarne Toczyska, mylnie przeniesione na lewy brzeg potoku. To samo dotyczy sąsiedniej Długatej, Langer-B., którą usytuowano jako kulminację 667 m długiego grzbietu schodzącego do doliny Białki. Prawdziwa Długata jest górką około 630 m, na samym końcu grzbietu nad wsią Nowa Białka. Nazwa 'Czarne Toczyska' jest rzadkim przypadkiem znakomitego, autorskiego tłumaczenia trudnej nazwy niemieckiej Schwarze Drehe. To złożenie składa się z przymiotnika schwarze - czarne i apelatywu 'dreh', który oznacza *obrót, wykret, manewr*. Polska nazwa jest również nazwą złożoną (zestawieniem), gdzie człon odróżniający pochodzi od bezokolicznikowej formy czasownika 'toczyć' lub apelatywu 'toczek' i utworzono ją pluralnym formantem '-ska'. KUNM uznała ten obiekt za zbyt peryferyjnie położony i szczęśliwie nazwy nie tłumaczyła.

GÓRY LISIE znajdują się w NW części Kotliny Kamiennogórskiej pomiędzy Bobrem, Sierniawą i Liszką. W tym opracowaniu stanowią samodzielny mikroregion. Góry Lisie powołała KUNM. Nazwa pojawiła się w 1949 r. we wspomnianym już Rozporządzeniu w takim właśnie szyku wyrazów. Nazwa w tym akcie prawnym dotyczyła dwóch szczytów o niemieckich nazwach: Buch-B. 666 m i Beuten-B. 660 m. W 1956 r. Góry Lisie trafiły na 'steciówkę' bez żadnych nazw szczegółowych. Dopiero w 1967 r. na pierwszym wydaniu mapy „Góry Wałbrzyskie” PPWK Steć wprowadził pierwszą nazwę: Lisie Skąły (Fuchssteine). Uważam, że te peryferyjnie położone górki warto wreszcie kompleksowo nazwać w sposób, który uzasadniłby nazwę 'Góry Lisie'. Zaczniemy jednak od nazw niemieckich, ponieważ już pojawiły się ich polskie kalki: Łup, Pokrzywna i Bucza Góra. Nazwa 'Beute Berg' pochodzi od łupu, zdobyczy (beute), w związku z czym właściwa byłaby nazwa: „Lisi Łup”. Hollen-B. (507 m) pochodzi od 'holle', czyli czupryna, stąd „Lisia Czupryna”. Nesselhügel (638 m), oznacza Pokrzywną Górkę lub Pokrzywkę. W staropolszczyźnie pokrzywa funkcjonowała jako 'koprzywa', a jej synonimiczna nazwa brzmiała 'koprusza'. Dlatego 'Lisia Kopruszka'. Wreszcie pospolita Buch-B. (666 m), może być zwyczajnie 'Rudym Bukiem'.

Kolejne obiekty topograficzne proponuję nazwać lisimi nazwami wywodzącymi się z bajek polskich autorów. Prawy dopływ Sierniawy wypływający po zachodniej stronie Gór u stóp Lisiego Łupu to 'Witalis'. Nazwa pochodzi ze słynnej bajki Jana Brzechwy 'Szelmostwa lisa Witalisa'. Z tej samej bajki pochodzą trzy dalsze nazwy: Kita, Srebrny Lis i Łysy Ancymon. Ta ostatnia występuje w oryginale w wersji: 'Znano różne w świecie lisy. Był więc lis Ancymon Łysy'. Kita to potok wypływający z SW zboczy Lisiej Czupryny i uchodzący dawniej do Dolnego Stawiska (Nieder Teich), obecnie ujęcia wodociągów. Największy prawy dopływ Sierniawy, wypływający z NW zboczy Lisiej Kopruszki otrzymał nazwę 'Ryży Kudła' ze słynnej bajki A. Mickiewicza „Lis i kozieł”. Z tej samej bajki przeniesiono nazwę 'Lisie Nogi' na wąski grzbiet pomiędzy Górami Lisimi a Ryżym Siodłem, oddzielającym te Góry od masywu Raszowej (602 m) i jej niższej siostry Rysiny (593 m), już w Obniżeniu Kamiennogórskim. Granicę Gór Lisich na SE stanowi potok 'Lisica' (Elżbieta Sadowiska „Lisica i wilk”), której lewy dopływ wypływający poniżej SW zboczy Srebrnego Lisa nazwałem 'Lisek' (Artur Oppman „Lis i bocian”). Srebrny Lis o wysokości ok. 633 m wyrasta niecałe 200 m na SE od Lisiej Kopruszki. Największe obniżenie tych gór pomiędzy Rudym Bukiem i Lisią Kopruszką zostało nazwane Przełęcz Łapikura.

Taki przydomek nosił sławny lis Sadełko z bajki M. Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”.

Od Srebrnego Lisa odchodzi długi grzbiet opadający w kierunku ujścia Lisicy do Bobru. Kolejne kulminacje w tym grzbiecie to Przechera (574 m), Rudy Lis (542 m) i Łysy Ancymon (ok. 483 m). Wszystkie nazwy pochodzą z bajek Jana Brzechwy, a pierwsze dwie z bajek „Lis i jaskółka” oraz „Lis”. Pozostaje jeszcze nazwa góry ‘Liszka’ (ok. 665 m) na SE od Lisiego Łupu. Pochodzi z bajki Biernata z Lublina „W każdej rzeczy końca patrzaj”. Z wyjątkiem Rysiny wszystkie wysokości określiłem na podstawie mapy TK Messtischblatt. Góry Lisie są nazwą złożoną (zestawieniem) o charakterze topograficznym. Pierwszy człon jest pluralną nazwą odapelatywną od podstawy słowotwórczej ‘góra’, a człon określający utworzono formantem „-e” do apelatywu ‘lis’, najbardziej produktywnego w nazwach odzwierzęcych w toponimii polskiej.

Wśród pięciu nazw, uznanych za piękne, aż cztery umieściła KUNM, a tylko jedna jest nazwą autorską. Stanowią one cztery oronimy i jeden hydronim. A teraz kolej na nazwy, do których zgłaszam zastrzeżenia:

BRAMA LUBAWSKA, Landeshuter Pforte, nazwa do lamusa!

Nie mam najmniejszej ochoty na roztrząsanie złożonych problemów geograficznych, ale ze zdumieniem zauważyłem, iż geografowie wymigali się od określenia ‘bramy’ jako pojęcia geograficznego. Stary (1973!) ‘Słownik pojęć geograficznych’ Pietkiewicza i Żmudy dostrzega tylko bramę krasową i bramę polodowcową. Dlatego sam muszę wcielić się w rolę geografa i określić topograficzne pojęcie bramy jako ‘naturalne, szerokie i otwarte przejście przez góry na wylot’. Tak najkrócej można zilustrować bramę. Teraz wypada oddać głos W. Walczakowi i wysłuchać Jego opinii na temat tego obiektu topograficznego: „Brama Lubawska, oddzielająca Sudety Zachodnie od Środkowych, jest rozległym obniżeniem odwadnianym przez Bóbr. Rozszerza się ono najbardziej w okolicy Kamiennej Góry, gdzie nosi nazwę Kotliny Kamiennogórskiej.” (s. 26) oraz: „Brama Lubawska – obniżenie śródgórskie zajęte przez wąską dolinę górnego Bobru i jej pagórkowate obrzeżenia (450-700 m n.p.m.)” (s. 361). Cytaty pochodzą z pracy „Sudety” wydanej w 1968 r. przez PWN. Po zapoznaniu się z tym tekstem i wycieczce terenowej na trasie Marciszów – Lubawka można mieć uzasadnione wątpliwości, czy istnieje tam jakkolwiek brama. Przede wszystkim, Brama Lubawska nie jest przejściem przez Sudety na wylot. Nie jest to przejście szerokie, o czym pisze sam autor i również nie jest to przejście otwarte, skoro znajdują się tutaj wzniesienia o wysoce osobliwej nazwie: ‘Wzgórza Bramy Lubawskiej’. A czy przełęcz też może mieć wzgórze? Pytanie tylko z pozoru jest głupie, ponieważ Niemcy znali pojęcie ‘Landeshuter Passland’ i odnosiło się ono do tych wzgórz! Problemy wynikają z bezkrytycznego przyjęcia poglądów przedwojennej geografii niemieckiej.

Wszystko zaczęło się od KUNM, która adaptowała pojęcie Landeshuter Pforte, odnoszące się do zachodniej części Kotliny Kamiennogórskiej zamieniając je na Bramę Lubawską. Dlatego Steć w 1965 r. nazwy Kotlina Kamiennogórska i Brama Lubawska traktował synonimicznie!

Należy oddać honor Walczakowi, który utrwalił pojęcie Kotliny Kamiennogórskiej, szkoda tylko, że nie zaciągnął kurtyny przed ową ‘Bramą Lubawską’. Klasycznym i szeroko znanym przykładem tej formy topograficznej jest Brama Morawska, którą od tysiącleci przechodziło wiele narodów w obu kierunkach, bo taka jest właśnie rola bramy. Oddziela Sudety i Karpaty i ma 65 km długości! Ta informacja jest dla tych, którzy w sposób nieprzemysłany szafują tym pojęciem. Tymczasem ‘Brama Lubawska’ ma 17,7 km długości, licząc od granicznego przejścia do krzyżówki dróg nr 5 i 328 w Marciszowie Górnym i jest bramą z jednej strony gór! Entuzjaści Bramy twierdzą, że otwiera ją Przeł. Lubawska na południu, a zamyka Kotlina Marciszowska i Góry Wałbrzyskie na północy. Tak więc nawet od strony północnej Brama ta nie otwiera Sudety na wylot. Jeżeli natomiast chodzi o stronę południową, to wspomniana Przeł. Lubawska (Pass von Liebau) jest tylko przejściem granicznym ‘Lubawka – Kralovec’ na wysokości 516 m i jako żywo przypomina słynną „Przełęcz Widok” w Górach Kaczawskich. Słowem: istnieje nazwa, ale nie istnieje obiekt topograficzny, którego ma ona dotyczyć. Prawdziwa przełęcz o nazwie Kralovecke Sedlo (Koenigshainer Pass) znajduje się 3 km od granicy państwowej w Czechach na wysokości ok. 530 m, co oznacza, iż od rynku w Lubawce aż do tej przełęczcy droga wznosi się na odcinku 6 km o ok. 50 m.

Daje to średnie nachylenie zaledwie 1,2% i stwarza okazję do wymyślania przełęczy w dowolnym fragmencie tej drogi! Prawdziwym powodem powstania nazw: Przełęcz i Brama Lubawska, były walory komunikacyjne, czyli pozageograficzne. Tędy właśnie prowadziło dogodne i znane przejście z Czech na Śląsk wykorzystywane w średniowieczu przez obie strony do celów dalekich od turystycznych. Kiedy obce wojsko schodzi z gór, zawsze powstaje wrażenie „wyłamania bramy”. A przecież nie można wyłamywać coś, co nie istnieje! Taka jest geneza „Bramy Lubawskiej”! Obie nazwy topograficzne: Brama i Przełęcz Lubawska, są zestawieniami, których człony utożsamiające pochodzą od apelatywów: brama i przełęcz, a człon odróżniający stanowi przymiotnik od nazwy miejscowej: ‘Lubawka’.

KOSZUTA - 169, Saalhügel Kopf, Koszuta (Działek).

Najwyższy szczyt Ogorzeleckiego Lasu (827 m), wznoszący się nad dolinami potoków: Świdnika i Klatki, dopływu Złotnej. Nazwa niemiecka oznacza ‘Działkowy Łebek’ w znaczeniu łebka gwoźdźca, gdyż ‘Saal’= dział. Fragment gór, w których znajduje się kulminacja, nosił niemiecką nazwę Dittersbacher Forst, tj. Ogorzelecki Las. KUNM zamiast wykorzystać ciekawą nazwę niemiecką, sięgnęła po ogólnosłowiańskiego koszuta – koziołka. Rzadka i stara nazwa występuje u nas od XIII w. w Wielkopolsce w formie ‘Koszuty’ jako nazwa miejscowa dwóch wsi w gminach: Słupca i Środa Wlkp., również pod Katowicami jako forma deminutywna nazwy wsi ‘Koszutka’ – obecnie dzielnica miasta. Śląsk i Wielkopolska to polskie „kozy królestwa”. Nazwa ta od dawna zalicza się w Polsce do kategorii nazw niezrozumiałych, w czym najbardziej upewniają nas autorzy ‘Słownika warszawskiego’ z 1902 r., gdzie hasło ‘Koszuta’ wyjaśniono jako... łupież na głowie (sic!!). Znacznie większą popularność *koszut* osiągnął na Słowacji, skąd został przejęty przez Węgrów jako częsta nazwa osobowa, zwłaszcza na obszarze d. monarchii austro-węgierskiej, skąd przez Galicję, wtórnie spopularyzowany w całej Polsce w formie nazwisk: Koszut, Koszuta, Koszutski. Koszuta prezentuje się jako nazwa dwuznaczna: albo jest nazwą osobową pochodzącą od apelatywu *koszut* – koziołek, utworzoną formantem ‘-a’, lub niemotywowaną nazwą topograficzną utworzoną od tego samego apelatywu. Takie dziwaczne rozwiązanie dla sudeckiego oronimu trudno uznać za udane. KUNM wybrała oryginalną nazwę, to i jest „oryginalna”! Proponowany Działek jest deminutywną nazwą odapelatywną, utworzoną formantem ‘-ek’.

Cdn.

Jerzy K. Bieńkowski



OJCZYZSTE



SZLAKI

WARMIŃSKIE KAPLICZKI, CZYLI PIĘKNO NIEDOCENIANE

Są na Warmii takie nieliczne kapliczki, które urzekają swoją amatorską formą wykonania. Ludzie tworzący je byli bardziej artystami ludowymi niż rzemieślnikami. Nie chodzi tu o te kapliczki oznaczone na mapach krzyżykiem na pomniejszonym kółeczku (w odróżnieniu od większych symbolizujących kościoły), ani nawet o te z zamalowanym kółeczkiem, oznaczającym zabytkowe. Zwiedzanie ich na ogół sprowadza się do zobaczenia sześciennego klocka z dwuspadowym dachem, o prostych nieciekawych ścianach. Jeżeli akurat nie będzie to niedziela i jedyna godzina, w której przyjeżdża ksiądz odprawić mszę, to nie zobaczymy ubogiego wnętrza, tego minikościółka. Czyli nasz kontakt z zabytkiem sprowadzi się do tzw. „pocałowania kłamki”.

Poza tym stawiano je na ogół w centrum wioski, co nie stanowiło atrakcyjnej kompozycji przestrzennej. Wróćmy więc do naszych małych przydrożnych kapliczek, których nie znajdziemy na mapach ani w przewodnikach.

Kapliczki nierozzerwalnie związane są z Warmią, stanowiła ona katolicką enklawę w ewangelickich Prusach. Ewangelicy zgodnie z zasadami swojego wyznania nie przedstawiali wizerunków świętych osób, więc stawiali przy drogach wyłącznie krzyże. Wraz z 1772 r. (I rozbiór Polski) władza świecka biskupów została rozwiązana, dobra skonfiskowano, odsuwając Kościół katolicki w cień. W wyniku przemieszczania się ludności, wpływów i oddziaływań z biegiem czasu i Warmia stała się na połę ewangelicka i katolicka. Skutkiem tego przybyło i jej sporo krzyży. Kapliczki, jak i krzyże stawiano przed wioskami lub w ich centrach, a także przy pojedynczych gospodarstwach i rozwidleniach dróg prowadzących do nich. Symbolizowały one orientację wyznaniową dawnych mieszkańców.

Kapliczki różnią się między sobą formą, proporcją, wielkością, czyli wyglądem. Często sąsiadujące ze sobą wioski posiadają zbliżone kapliczki. Ogólnie można podzielić je na trzy rodzaje: najbardziej typowe z obrazkiem lub figurą, zamiast tego wyposażone w krzyż pod daszkiem, z dodatkowym małym dzwonem, umieszczonym wysoko nad zasadniczą częścią kapliczki. Te ostatnie można czasem spotkać w miejscowościach, w których nie było kościołów czy dzwonek przy remizach, aby przekazać potrzebne sygnały. Większość kapliczek jest starannie wykonana, cegły równo ułożone, niczym ze „szwajcarską precyzją”. Po czasie ideały nie budzą takich zachwytów, jak te lekko przekrzywione, o nierównych ścianach, w kształcie niepowtarzalne, jakby ktoś gołymi dłońmi je formował. Bez użycia przyrządów i narzędzi murarskich. A do tego często jeszcze malowniczo wkomponowane w pagórki, wijące się dróżki i stare drzewa.

Najpiękniejszymi są kapliczki w Trękusie (północowschód od Olsztyna): biała, cylindryczna z rzeźbą artysty-prymitywisty w środku, stojąca pomiędzy czterema wielkimi lipami. Druga znajduje się w Dobrażu, na górcie pod wielkim klonem, dobrze widoczna z drogi Barczewo – Biskupiec. Jej biały, masywny prostokąt przywodzi na myśl stare piece z wiejskich chałup. Godnymi polecenia są też kapliczki w Jankowie (pomiędzy Świątkami a Dobrym Miastem), wysoka, okrągła z niespotykane rozbieżnymi wnękami; klasycznie warmińskie w Stękinach (Olsztyn – Morąg) oraz za wsią Godki (przy polnej drodze). Może jeszcze ze względu na swoją strzelistość, wkomponowaną w smukłość drzew, kapliczka za dużym parkingiem, w połowie drogi pomiędzy Dobrym Miastem a Lidzbarkiem Warmińskim.

Innym tematem są tzw. „figury” w zasadzie niespotykane u nas, oprócz kilku nowszych produktów. Występują one w innych częściach Polski. Polegają na tym, że na cokole na ogół stoi rzeźba Matki Boskiej, ewentualnie jakiś święty patron, w ludzkich proporcjach lub niedużo mniejszych. Namiastkami tego u nas mogą być figury Chrystusa, ustawione jako pamiątka zmarłym na dżumę, w początku XVIII w. (na rogu ulic Warszawskiej i Kazimierza Jagiellończyka oraz Kopernika, przy neogotyckim kościele Serca Jezusowego, obecnie oddana do renowacji). Poza Olsztynem najciekawszą jest mocno zdewastowana figura św. Jana Nepomucena z 1795 r. na wysokim cokole w Pajtuńskim Młynie (rz. Kośna). A także była Chrystusa z krzyżem, po którym pozostał cokół, przy drugim wieździe do Barczewa. Inną rzeczą, „robiącą” za figurę, jest utracona od góry postać w długiej sukmanie, z siecią pełną ryb, stojąca na rozwidleniu dróg w Kojtrynach (droga Barczewo – Biskupiec). Z opisu można by wywnioskować, że to Chrystus lub któryś z apostołów, w końcu byli oni rybakami. Lecz dla wtajemniczonych to pomnik „Rybaczki”, przeniesiony znad jeziora, gdzie dawno, dawno temu nieszczęsna utonąła w falach jeziora Dadaj, zarabiając na życie.

Jeżeli ktoś z czytelników spotkał gdzieś niepowtarzalną kapliczkę, to będę bardzo wdzięczny za podzielenie się ze mną tym pięknem. Proszę o przekazanie krótkiej informacji lub pozostawienie swoich namiarów w redakcji.

Tomasz Sowiński

TATRZAŃSKI DEBIUT

Tak naprawdę, moja „tatrzańska kariera” rozpoczęła się zgoła niewinnie w 1977 r. Pracowałem wówczas na kombinacie petrochemicznym w Płocku i pierwszy urlop, po długich wahaniach, postanowiłem spędzić w Tatrach. Trwał brzemienisty upałem czerwiec, wyganiając ludzi z opustoszałych miast, spowitych duszącym skwarem. Nad wszystkim dominowało zniechęcenie i dopiero chłodniejsze wieczory rozpraszały martwość. Cieszyła niezmiennie utrzymująca się piękna pogoda, która wreszcie się ustabilizowała, kusząc udanym urlopem. To przeważyło. Ze skromną raczej sumą pieniędzy w kieszeni, ale mniej skromnym entuzjazmem, mając ze sobą jedynie niewielką torbę podróżną, a na nogach zapyziałe półbuty, wsiadłem do pociągu warszawskiego. Przewaga „plecakowatych” sugerowała, że zdecydowana większość to starzy wygryzacz i z mieszanymi uczuciami, zdziwieniem nieledwie zerkałem na swój skromny, jak u eremity ekwipunek, unikając obojętnych (a może i ironicznym) spojrzeń. Wywalczywszy w ciżbie wolny skrawek, pograżyłem się w rozmyślności, niewidzącym wzrokiem odprowadzając migające plamy pól. Chwilami tylko monotony stukot kół rwał strzępy myśli i przywracał brutalnie rzeczywistość. Uśmiechnąłem się do horyzontu przyobleczonego już w wyobraźni wyszczerbioną koronką. Nie widziałem jeszcze gór wysokich z bliska, intrygował mnie też zapamiętany z przeszłości obraz.

Jazda trwała całą noc. Dzięki niesamowitemu ścisłowi stałem (tylko dzięki temu) wśród skurczonych, wymiętych pasażerów, którym godziny trwania, przerywane krótką, nerwową drzemką upływały straszliwie powoli, przydając smug pod oczyma. Z ich kamiennych niemal postaci przebijała rezygnacja i smutek stężyły. Widok jak żywo przypominał sceny z obrazów Jerzego Dudy-Gracza – taka była od tych nieruchomych sylwetek prawda życia, odarta z poży, karmiąca się zapomnianymi już myślami... Trwała niema spowiedź każdego z osobna i wszystkim razem. Tylko co jakiś czas w powietrzu krzyżowały się beznamienne zmęczeniem spojrzenia. Nocne czuwanie rwało metaliczne, zgrzytliwe staccato kół, rozpraszając bezdomne myśli. Zaczęło już szarzeć, gdy pociąg stanął w Krakowie. Tu część podróżnych rozlała się po peronie, a reszta pośpiesznie zaczęła szukać wolnych miejsc. Po niedługim czasie z wolna ucichły rozmowy, w powietrzu zawirował ciężki sen poranka.

Nie spałem – w pociągu to niemożliwe – pustym wzrokiem spoglądałem po naznaczonych piętnem wczorajszego dnia twarzach, słuchając chrapliwego oddechu sąsiada. Co jakiś czas bełkotał niezrozumiale jakieś imię, jęcząc przy tym cicho. Czasem zerkałem w zaparowane okno, za którym przemykał coraz bardziej wypiętrzający się pas zielonych, soczystych wzgórz. Pierwsze promienie słońca zamigotały pod opadającymi powiekami, by ustąpić miejsca kolorowym plamom wirującym coraz szybciej.

– *Tatry widać!*

Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem na korytarz. Przez brudne zaparowane szyby zobaczyłem najpierw granicę złocistego światła i cienia, gdy pociąg wyskoczył z mrocznych czeluści lasu Sieniawskiej Przełęczy na zalaną poranną słońcem Kotlinę Nowotarską i zaczął nabierać szybkości. Stukot kół zlał się w jeden potępieńczy wizz, wagony tańczyły w jakimś somnambulicznym tańcu, zgrzytając i piszcząc na lśniącej kresce szyn.

Cała rozległa misa kapała się w strugach porannego światła, pobłyskującego tu i ówdzie złocistymi refleksami, niczym gwiazdy. Nad falującymi łąkami zbóż przepływały szybko postrzępione opary mgieł, a nad nimi potężniał niebotyczny mur, poszarpaną klamrą raniącą niebo. Między odległymi wierzchołkami gdzieś rozrastały się nieśmiało jeszcze pierwsze obłoki swymi mackami oplatając już granie.

Ogarnęło mnie uczucie bezdomne jakieś, niezdarne, co wyrozumiałości tylko czeka. Ożyły odległe wspomnienia zamazane przez czas, zakolały w mózgu zaczytane „kamienne pomniki” – Iwaszkiewicza, Tetmajera, Bocheńskiego – na próżno jednak. I nie wiedziałem, co z czym porównywać. Pustkę w głowie zastąpił ciepły uśmiech wzruszenia. Słowa wydały się tu pustym tylko dźwiękiem. Im cichsze tym cenniejsze. Pragnąłem, by ta chwila trwała i trwała; niestety, po parunastu minutach wjeżdżaliśmy już do Nowego Targu. Wyraźnie widziałem jeszcze Giewont, którego kokietyjny przekrzywiony łeb olbrzymiał nad miastem przesłaniając swoim pobrużdżonym cielskiem leżące za nim kopulaste wierchy. Spłowiały ich murawę pokrywały szare, nieregularne płyty śniegu. Twarz owionął ledwie wyczuwalny, surowy zapach wysokich hal i ustępującej, choć niechętnie, zimy.

Wysiadłem jako jeden z ostatnich, ociężale ruszyłem za kolorowym, podekscytowanym tłumem w kierunku budynku stacji. Jego odrapane ściany nie zachęcały do wejścia, podobnie jak gardłowy, ze śmiesznym akcentem, głos skrzeczący gdzieś nade mną: ...o godzinie ...wiąteej, wiąteej... Nawet nie wiem, jak znalazłem się w ciemnym kącie opustoszałej hali dworcowej.

Zbudziło mnie szturchanie w ramię. Nade mną na rozstawionych nogach, lekko chwiejąc się stał młody góral. Poza wełnianymi, typowo góralskimi, brudnymi portkami, odziany był po cepersku, w marynarkę. Patrzył na mnie przeciągle spod przymrużonych powiek. Doleciał mnie kwaśny zapach alkoholu. Ręką wykonywał nieokreślony, chyba zachęcający ruch.

– *Chatę... hgg, panocku, chcecie... hgg!?*

A widząc moje pytające spojrzenie, podrapał się niedbale po głowie, myślenie sprawiało mu wyraźnie kłopot. Kołysał się przy tym jak smrek targany halnym, wreszcie uroczyście obwieścił:

– *Naa Małym Żywcańskim, zaboczycie!*

Omam nie parsknąłem śmiechem, sięgnąłem po torbę, którą ciałem przezornie przycisnąłem do ławki i zwolna ruszyłem za lekko zataczającym się góralem. Ale nawalony, zawsze przecież mogę zrezygnować... Wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę i pośród dostojnie kroczących przy dorożkach górali gardłowo skandujących do siebie, zanurzyliśmy się w ocienioną aleję. Ruch był jeszcze niewielki, miasto budziło się dopiero do codziennej krzątania. Otoczyło mnie rześkie, nocą oczyszczone powietrze i narastający szum. Góral szedł coraz pewniej, co zmniejszyło nieco moje obawy. Wkrótce pojawiła się rozległa polana i zobaczyłem w oddali zniebieszczony wał z kształtną ostrogą Kościelca na pierwszym planie. Jego krawędź odcinała się od nieba ciemniejszą kreską. Nogi posłuchały oczu, nie na długo jednak, góral przynagłał niecierpliwie. „To chyba tylko jakiś naganiacz, na szczęście”. Zataczał się lekko, przezornie trzymałem się nieco z tyłu. Wkrótce doszliśmy do skrzyżowania ulicy Kościuszki z Krupówkami, senna dotychczas atmosfera ustąpiła miejsca natarczywemu zgiełkowi tłumy „tubylców”.

– *Baco, czy oni wszyscy tu dla Tatr?!*

Góral zerknął na mnie jakby ironicznie, grymas pogardy wykrzywił mu usta.

– *Niii, przyjechali do Nowego Jorku, – urwał na chwilę, jakby dla nabrania oddechu – hgg... bo im się zdaje, że cały wielki świat tu się zaczyna i kończy, a Tatry to nich ino ładny obrazeek, hań...*

Wmieszaliśmy się w kolorowy, mobilny tłum, bezładnie przelewający się po obu stronach ulicy. Tu i ówdzie wyraźnie w mniejszości przemylkali malowniczo odziani w barwne flanele, zarośnięci osobnicy, przytłoczeni brzemieniem ciężkich plecaków. Spod nich wyzierały naznaczone znużeniem twarze. Do ich beznamiętnych spojrzeń dołączały ruchy – spowolnione, jakby wkładali w nie resztki woli i myśli ocalałych z górskich zmagania... Ubranie nosiło ślady wielodniowych wypraw znaczone siapawicą, niepogodą, a bywało i śniegiem. Czasem tylko ktoś odprowadził ich ironicznym uśmiechem, pustym i głupawym. Przewalał się obok nas bez troski, anonimowy tłum sprawiający wrażenie jakby to miasto tylko dla jego kaprysów i zachcianek było stworzone. Dla wielu pobyt w Tatrach tu się zaczyna i kończy. Swój kontakt z górami ograniczają często do Kasprowego Wierchu, Doliny Kościeliskiej, Morskiego Oka zadowolającej się słowami: *tu nawet ładnie...*

Nad przeżyciami estetycznymi góruje instynkt stadny i płytki konformizm. Codziennie w niezmiennym, rytmie drepczą Krupówkami, żyją w błogim samouwielbieniu – dowartościowują się dla znajomych, dla siebie. I do głów im nawet nie przyjdzie, że tuż obok (gdzie nawet ładnie) toczą się autentyczne dramaty. Tandeta i ostentacja świecą triumfy. W tej masie, rozedrganej i chaotycznej co jakiś czas słychać buńczuczne, zachłyśnięte okrzyki wyrostków, kobiety wyzywająco ubrane udają brak zainteresowania powłóczystymi spojrzeniami mijanych mężczyzn. Znużenie przyczaiło się już na powiekach, coraz słabiej uderzał we mnie uliczny gwar. Tępym wzrokiem spoglądałem na mijany tłum. Nie zmyliło to jednak górala. Dotknął mego ramienia uspokajająco: *To już hań blisko!*

Weszliśmy pomiędzy ściśnięte zabudowania w stylu zakopiańsko-równinnym, gęsto okolone drzewami liściastymi, gdzieś ukazywał się świerk, posadzony przez właściciela posesji. Lawirowaliśmy między płotami odprowadzani wściekłym ujadaniem owczarków. Było pusto, zrobiło się wyraźnie cieplej. Gdzieś nad głowami promienie słoneczne harcowały w koronach drzew, skąd spadały na ziemię rzadkimi plamami.

Już zacząłem się niecierpliwić, gdy nagle góral zatrzymał się, dał mi znak ręką i wszedł po zmurszałych stopniach na ganek. Po paru minutach ukazała się głowa kobiety w średnim wieku o potarganych siwych włosach i wąskich zaciśniętych ustach znamionujących stanowczość. Spomiędzy nich pobłyskiwały złote koronki, dziwnie kontrastujące z ogorzałą twarzą. Przez chwilę przyglądała mi się taksująco, w końcu kiwnęła ręką zachęcająco: *Na wiele chcecie nocy?*

Odpowiedziałem, że na tydzień, a może dłużej. Chwilę coś ważyła w myśli, poczym odwróciła się w zanurzyła w mroczną czeluść ganku. Dobiegło mnie jeszcze jej gardłowa zachęta, po której usłyszałem z głębi domu spazmatyczny płacz dziecka. Zrazu niepewnie ruszyłem ciemnym korytarzem. Zamajaczyły mi przed oczyma ciemne postacie zbójników pobłyskujących z malowideł na szkle. Przykuwały wzrok surową, ascetyczną formą, dziką, nieokiełznaną i takimiż barwami. Stanowiły wierne odbicie ludu tu osiadłego, szorstkiego, nieugiętego, lecz i prawego. Prostą, dosadną kreską opowiadały burzliwą, choć krótką historię tych ziem. Za nimi wyłoniły się z mroku parzenice rzezane w drewnie i drobne przedmioty niewiadomego przeznaczenia przyciągające wzrok surowym rysunkiem – tego było tu najwięcej. Drgnąłem, usłyszawszy chrapliwy głos gospodyni.

Wszedłem do małego pokoiku. Kątem oka ujrzałem, oprócz łóżka, jedno małe krzeselko stojące pod niewielkim stolikiem o blacie nieokreślonej barwy i wielką szafę o tajemniczym przeznaczeniu. W powietrzu unosił się delikatny zapach żywicy i drobin kurzu. Parę chwil trwało nim uzgodniłem cenę. Uznała chyba, że jej wyjaśnienia mnie zadowolily, bo pospiesznie stopiła się z mrokiem korytarza. Jej cichnym krokiem przytakiwały tylko złotouste plamy, harcujące po ciemnej ścianie.

Na drugi dzień obudziły mnie przytłumione odgłosy codziennej krzątania i urywany krzyk dziecka. Zerknąłem na zegarek, szybko ubrałem się i opuściłem pokój. Gdy przechodziłem korytarzem, dobiegł mnie płacz, odruchowo zajrzałem w głąb kuchni. Nie od razu dostrzegłem siedzącą przy stole młodą góralkę niewidzianą wcześniej. Trzymała na kolanach kilkumiesięczne niemowlę i poruszała ustami regularnie, jak żująca krowa. Nie zwróciła na mnie uwagi. Zaintrygowany patrzyłem jak wypływa z ust na łyżeczkę jakąś papkę i karmi nią dziecko. Wyczuła wzrok, bo odwróciła się i posłała mi pytające, harde spojrzenie. Roześmiała się przy tym krótko, gardłowo, aż dziecko machające beztrósko rączkami zastygło w bezruchu i spojrzało na nią wyczekująco. Na mojej twarzy zakwitł jakiś nieokreślony grymas, co miało przypominać uśmiech i pośpiesznie zbiegłem po trzeszczących stopniach.

Pogoda panowała piękna – to rozkwitało górskie lato. Zaczynał się napiętnowany upałem dzień. Tylko wiatr nieśmiało jeszcze szuścił pośród rzadkich tu drzew. Spomiędzy wysokich świerków co chwila wyzierała szara bryła Giewontu. Oto góra – kicz, Jasna Góra – Zakopanego. Cel pielgrzymek tysięcy niedzielnych turystów. Ba, przez niektórych uważana za najwyższy szczyt Tatr. Północna ściana gdzieś tam świeciła jasnymi smugami wody, wyzwolonej z topniejącego, gdzieś wysoko śniegu. „Oto szczyt, na który idzie się z pociągu, na który krowa wejdzie, już za parę dni” – uśmiechnąłem się do tej myśli. Jakaś kobieta idąca z naprzeciwka odprowadziła mnie zdziwionym spojrzeniem. Z ciekawością rozglądałem się po słoczonych chatkach, upstrzonych szumnymi nazwami, wyznaczającymi miejscowy snobizm i granice prywatności. Czasem odprowadzały mnie, leniwe dziennym przymusem, szczekanie psa, czy beztróskie okrzyki z zagród.

Jakoż po parunastu minutach na końcu szosy wyłoniła się szara bryła stacji w Kuźnicach. Klębił się tu tłum ludzi, w powietrzu unosił się gwar rozmów i zapach przypalonego oleju. Dorożkarskie konie niecierpliwie stukwały kopytami o bruk, wyzwalając leniwe mruknięcia gazdów rozpartych na kozłach. Gdzieś z wysoka dochodził cichy warkot i chrzęst, czasem niezrozumiałe nawoływania. Wszystko dookoła przepajała atmosfera pośpiechu i podekscytowania, znów stanęły mi przed oczyma postacie z płócien Dudy-Gracza, powykręcanymi kończynami i beładnym tańcem wtopione w jakiś galaktyczny, świetlisty wir krzywego zwierciadła. Zaczyna to już być moją obsesją – uśmiechnąłem się w duchu. Z ulgą też przekroczyłem drewniany mostek ścigany szumem potoku i cichnym gwarem.

Wchłonał mnie, gęsty mieszany las przecięty w tym miejscu łagodnie wznoszącą się ścieżką. Przez zieloną gęstwę przesączały się drgające promienie słońca, rozjaśniając krawędzie lekko szmerzących liści, by przepaść wreszcie w zakamarkach kniei. W powietrzu unosił się kuszący, wonny zapach żywicy i runa leśnego. Z każdym krokiem słabł szmer głosów, wokół zamykała się cisza; cisza jakże intymnej rozmowy, z samym sobą.

Przerywał ją odległy, radosny krzyk ptaka, który tonął w szumie wiatru. Między coraz rzadszymi smrekami ukazała się rozległa polana, z lewej strony zamknięta jałowym zboczem. To dolina Jaworzynki. Wiatr delikatnie szeleścił pośród łąnow traw, miękko kołyszących się ku słońcu. Cała przyroda brała udział w tym odwiecznym hołdzie składanym harmonii narodzin, trwania i przemijania. Usłyszałem jakieś szmery. Na moment zadźwięczały zwątpieniem w sercu. Za przełamaniem terenu wyłoniły się dwie postacie w czerwonych koszulach, wolno zdążające w moją stronę. Nie zwlekając więc ruszyłem, zdjawszy przedtem koszulę pokrytą już plamami potu. Pasek od torby boleśnie uwierał w ramię, bezbronnie wobec palących promieni.

Potem były kamienne stopnie skowyczące i skomlące jękiem, przepadającym w głębi leśnych ostępów, smugi światła ześlizgujące się z postrzępionych konarów na kamienną ścieżkę, wolno przepływające nad głową obłoki, nieśmiały jeszcze lęk. Jakaś szarosrebrzysta patyna, ścianka, pośrodku czerniejąca otworem jaskini, skalisty cypel – jak wyspa nurzająca się w kępach osepiałej upałem kosówki. Zbocze naprzeciwko kornie legło u nóg, a zza niego wyjrzało zmiękzone dymami miasto. Nie ono jednak przyciągało wzrok, a szerokie siodło przełęczy, nieodległe już.

I znów wchłonęła mnie aksamitna zielonością kosówka, pod nogami zaskrzeczały luźne kamyki, czerwienią zamigotały akcenty skarłatej jarzębiny przez górali zw. skoruszą, w nos popieścił zapach borówki? Stałem, w skroniach stukwały młoteczki, wysokość też dawała o sobie znać. Ścieżka na dnie doliny zapadła w głąb. Ożywiały ją już tylko maleńkie punkciki, wytrwale podążające w kierunku cienia rzucanego przez zbocze na dno doliny. Nie uszedłem daleko, gdy mój wzrok przykuło coś czerwonego w trawie. Podeszedłem bliżej, była to wyblakła szarfa żałobna, a pod nią zgaszony znicz, przekrzywiony na bok. Kiedy przysunąłem się bliżej, z trudem mogłem odczytać rozmyty napis na kartce wetkniętej w gałązki.

„Zb. Korosadowiczowi, zmarłemu w tym miejscu na atak serca w dn...przyjaciele z gór”. Bezradnie rozejrzałem się dookoła. „Więc tu Go zatrzymały góry...” – zamyśliłem się. Z odrętwienia wyrwał mnie szelest dobiegających, gdzieś z dołu kroków. Ścigany nimi, ciężko sapiąc wydostałem się na szerokie siodło przełęczy. Nieodległe już, dostojnie przepływały szare kłęby oddzielając się od zwarte go wału zastygłego nad Podhalem. Forpoczty? Zapadłem w miękkim łonie traw. Otoczyła mnie słoneczna, gęsta blaskiem, cisza wysokich hal, przerywana szmerem rozmów.

Ponad rozległą, smaganą narowistymi podmuchami, połoniną ujrzałem stalowobłękitny mur poszarpaną koronką osaczający Halę Gąsienicową. Natura wzniosła się tu na piedestał surowego, bezkompromisowego piękna, serce oczom odpowiedziało, porzućcie nadzieję ci, którzy tu wkraczacie... bo Natura nie zna słowa nadzieja. Wzrok przykuła kształtna do Ewerestu podobna piramida Świnicy, ten wysunięty na przednie czaty granitowych dziedzin strażnik. Przed nią w pokłonie siwy łeb kornie Kościelec schylał. Po lewej poszczerbiona grań Orlej Perci, w kamiennej modlitwie zakrzepła, przepadała w przysadzistych połoninach Żółtej Turni, otoczonej służebnymi łąnami kosówki.

Słońce stało wysoko, skąpo przygrzewając zza zszarzałego nieboskłonu, gdy niechętnie podniosłem się z trawy. Martwa gdzieniegdzie kosówka, ofiara bezśnieżnego snu, smętnie spozierała w głąb zanikającego cienia, w którym nurzał się i anemiczny kwiatek.

Wymagająca to ziemia i jakże okrutna... rosła w oczach słynna „Betlejemka”, niepozorna chatka – baza kursów wysokogórskich, a za nią wyłaniała się nieforemna bryła „Murowańca”. To ku niemu zdążałem. Krawędź połogiej w tym miejscu ścieżki zgarnął cień szybko pomykającej chmury. Gdzieś za nim wyłaniał się kar Czarnego Stawu, perlistą taflą wdzierając się do otaczających go szczytów.

Coraz wyraźniejsze szmery. Niepewnie wkroczyłem na rozległy dziedziniec wypełniony turystami. Kilkanaście postaci zastygło nad kopącymi maszynkami, głowy ozdabiał błękitny pióropusz, gryzący swąd przeplatał się ze zdawkowymi, rwanymi monosylabami. W powietrzu unosił się mdły zapach, mięsa, spalenizny? Na pewno wyczekiwania, magicznego rytuału może. W sieni schroniska ruch był jeszcze większy. W powietrzu krzyżowały się krótkie nawoływania, ginące gdzieś w zakamarkach powały i metaliczny szcęk naczyń kuchennych. Uderzała mnie fala ciepła, niemiły zapach przepoconych ciał, bigosu i Bóg wie, czego jeszcze.

Chwilę trwało, nim odebrałem nieśmiertelny bigos i herbatę z rąk dziewczyny o pustym, kocim spojrzeniu. Nie bez trudności przedarłem się do stolika, hamowany plecakami.

Siedziała tu filigranowa blond-dziewczyna z utkwionym w mapę wzrokiem. Twarzy nie widziałem, przysłaniały ją lekko kręcone włosy, zsunięte na czoło, tylko mapę rozświetlał mdły blask padającego przez zaporowane szyby światła. Na pytanie o miejsce przyzwalająco zapiszczał wysoki, cienki alt. Usiadłem na brzegu ciemnej ławy, rozejrzałem się z ciekawością po szerniałych ścianach, ozdobionych starymi fotografiami i połamanymi nartami. Zajęty jedzeniem machinalnie zerknąłem na dziewczynę, napotkałem spojrzenie smutnych jasnoniebieskich oczu, w których tliły się ledwie zauważalne iskierki. Zmieszała się nieco, a w kącikach ust wykwitły figlarne dołeczki. Niedbałym ruchem odrzuciła włosy do tyłu. Nie była brzydka, tchnęła kobiecością i nieokreślonym ciepłem. Kokieteryjnie swym wysokim głosem spytała o plany.

– *Pójdę nad Czarny Staw, a dalej zobaczę, jak pogoda pozwoli, to łatwiejszy szczyt, noo... w ostateczności niewieście serca...*

Krytycznym wzrokiem obrzuciła całą moją postać, zajrzała nawet pod stół, jej lekko ironiczny wyraz twarzy mówił właściwie wszystko. Rzeczywiście, nie prezentowałem się zbyt okazale, z udanym zdziwieniem spojrzałem na swe buty i poważnie potaknąłem głową. Po chwili znów zabrzmiał jej cienki głosik stwierdzający, że pewnie po raz pierwszy przypadkowo w górach i od razu tak bezdurnie... itp., itd. Zabrzmiało to tak poważnie, że z trudem stłumiłem wybuch śmiechu, a pomyślałem – to chyba nauczycielka, ładnie trafiłem, nie ma co... Przekrzywiła zabawnie głowę zasypując oczy falistymi puklami, po czym zaproponowała wspólne wyjście na Kościelca. Przez chwilę milczałem zaskoczony, czując na sobie ciężar natarczywego spojrzenia. W końcu wyciągnąłem do niej rękę chwytając nadszpiegowanie ciepłą dłoń i przedstawiając się przy tym.

– *Krystyna... znam trasę, nie zwlekajmy więc, później pogoda nie będzie rozpieszczać.*

Starannie umieściła plecak na plecach, a ja z niezbyt mądrą miną zarzuciłem idiotyczną torbę, której zawartość stanowiła, jak na eremitę przystało, kanapka i kurtka ortalionowa. Na sobie miałem jedynie cienki żakiecik, a na nogach półbuty. Na chwilę zapomniałem o dziewczynie, ożyły szczenięce lata, gdy pod opiekuńczymi skrzydłami matki przemierzałem dzielnicę Ochoty jeżdżąc do lekarza. I jej bezradną rozpacz po kradzieży pieniędzy w tramwaju. Byliśmy wtedy tacy bezbronni i zagubieni. Podobnie jak ja teraz.

Wyszliśmy z przytulnej sali na skąpany blady promieniami, opustoszały już dziedziniec. Owiało nas rześkie, przesycone zapachem igliwia powietrze. Dziewczyna stwierdziła prawie z żalem, może ironią, że przez pomyłkę urwałem się z parafialnej wycieczki na Jasną Górę.

– *Kiedyś musi być ten pierwszy raz, a to nigdy nie jest poważne.* – skwitowałem z przekąsem.

Udała lekkie zdziwienie, usłyszawszy o moich niedosłuchu. Zignorowała uwagę, że możemy mieć kłopoty z porozumieniem, zwłaszcza, że ten jej alt... Ostatnie słowa puściła mimo uszu. Potrząsnęła jasną grzywą przecząco – nie jest gadułą i że w górach słowa są banalne. Prawie rozśmieszył mnie patos jej słów, lecz w duchu zadrgały ciepłą jakąś nutą.

W milczącym porozumieniu posuwaliśmy się dalej, przed oczyma tańczył jej plecak, sprawnie przeskakiwała chybotliwe głązy – towarzyszył temu perlisty śmiech? jękliwy łoskot?

Kosówka zwolna się przeredzała i wkrótce ścieżka jasną krechę rozdarła połogie zbocza Małego Kościelca ginąc gdzieś na progu moreny. Zapadła w głąb senna niecka Doliny Suchej Wody mieniąca się szmaragdowosrebrzystą tonią kosodrzewu. Kusiły zapachem niewidoczne borówki.

I sercu nie żal, gdy nie nadszpiegowano za nim oczyma, dziewczyna z niejaką dumą wskazała niewielki rdzawy głąz, znaczony swastyką, pieczętujący ostatnią drogę Karłowicza.

Po kilkunastu minutach wydostaliśmy się wreszcie na próg, w misie którego zadumał się Czarny Staw. Osaczał nas stłumiony szmer, przepadający w ciemnej, lustrzanej toni, by powrócić dzikością surową – niezmaconą najmniejszą nawet falą. W zwierciadle przeglądały się ciekawie okoliczne szczyty. I tylko przybrzeżne płyty lodu maciły ten obraz brutalnie rozdzielając nieprzyjazną szarość skał. Gdzieś głęboko w duszy ożyły tetmajerowskie zwidy i zawodzenia, zafalowały echa dawno przebrzmiałych kamiennych legend... Tetmajera, Jalu Kurka i innych, każdej na swoją nutę opowiedzianych.

Gdzieś znikł beztroski nastrój dziewczyny, zastąpiły go niespokojne spojrzenia rzucane przelotnie w niebo. Znikł całkowicie życiodajny światłocień skrywając się w licznych szczelinach, szarość jakaś głucha zmiękczyła drapiezną rzeźbę skał. Zrazu podążałem śladem dziewczyny, ale wkrótce zacząłem odstawać, zmuszając Krystynę do coraz częstszych postojów. Nie ponagliła mnie ani jednym słowem, cierpliwie czekając, aż dojdę. Pod nami powoli malał Czarny Staw przy brzegach złocistozielonej pasmami znaczą płycizny. Po bokach kamienistej ścieżki stroszyły się coraz radsze strzępy kosówki. Skarlałe, nieustępliwe życie tliło się jeszcze na tych wysoczyznach. Stężała ciszę rozpraszał jęk skargi poruszonej płyty, nieśmiałe pacnięcia półbutów, akcentowane tępym odgłosem jej wibramów, świszczące oddechy. „Malzaczyłem” się jak skazaniec z tyłu, wkrótce wydostaliśmy się na niewybitną przełęcz, w której domyśliłem się wcięcia Karbu. Stąd rozpościerał się rozległy widok na ogromne płytowe spaszty Świnicy i drzemiące kokieteryjnie u jej podstawy pawiookie stawki, każdy o innej nazwie. Ponad nami na nikszej ścieżce tańczyły kolorowe punkciki. Niewyraźna perć, dotychczas kluczająca wśród wielkich want i bloków, przeszła w trawiaste zbocze zarzucone nieregularnym szutrem skalnym. Tu ścieżka wiodła szerokimi zakosami. Coraz silniej odczuwałem w stopach ból, usta spazmatycznie łykały rozrzedzone powietrze, wargi przyoblekła lepka suchość. Wyblakłą murawę hal wzięło w swe posiadanie wyżarte, rozproszone światło. Niebawem ścieżka zanikła w terenie czysto skalnym, potrzaskane bloki z rzadka ozdobione kolorowym paskiem wyznaczały kierunek. W górę wiodło strome zacięcie, dobrze jednak urzeźbione. Cóż z tego, skoro przyobleczone lodową polewą. Z konieczności tylko zamieniliśmy zdawkowe słowa. Z każdym metrem narastał we mnie bunt i chęć odwrotu. Żadną miarą nie mogłem opanować zdenerwowania i irytacji. Kiedy Krystyna odwróciła się, pokazałem jej znaczącym gestem kółko na czole. W odpowiedzi parsknęła krótkim śmiechem... Idiotka – nic innego mi do głowy nie przyszło. Tylko nagie brunatnoszare skały były niemym świadkiem tej farsy. Wkrótce dotarliśmy do płyt szczytowych i tu zaczęła się bardziej finezyjna wspinaczka. Dobre urzeźbienie skały, nawet śliskiej, dodawało pewności ruchom. Znikł gdzieś wcześniejszy lęk, pozostało tylko posłuszne woli ciało i bezwolna milczeniem skała. Po twarzy musnęło coś zimnego, mgła? deszcz? Wspinałem się w skupieniu, nie unikałem jednak pewnej sztywności... Prawa noga, lewa ręka, lewa noga, prawa... Mrozący dotyk oblodzonej skały promieniował, aż do kości – tak sobie wyobrażałem pocałunek śmierci, która była tu wszechobecna, niemal słyszałem jej szyderczy chichot. To ambiwalentne uczucie jak najszybszej ucieczki z trudnych miejsc przeżywałem potem jeszcze wielokrotnie. Tuż nad sobą usłyszałem przyspieszony oddech dziewczyny. Jej oczy mówiły, że do szczytu już blisko.

Jakoż po niedługiej chwili wydostaliśmy się na wąską, przepaścistą grań szczytową. O dziwo, było tu cieplej niż w skale. Przysiedliśmy. Nieopodal przycupnęła postać zwinięta jakby w sobie. Zerkąła w stronę doskonale teraz widocznej Świnicy. Na nasze powitanie drgnęła, rzuciła nam nieobecna spojrzenie i wróciła do przerwanej lustracji. Krystyna uśmiechnęła się przewrotnie, jej uśmiech nie wróżył nic dobrego.

– *Ponieważ urwałeś się z pielgrzymki jasnogórskiej i jesteś pierwszy raz tak wysoko, to przetrzepiemy dupę... no kładź się tu!*

Jak mus, to mus – pomyślałem – i położyłem się na najbliższym większym głazie w duchu pocieszając się, że dziewczyna jest taka filigranowa.

– *Auuu!!* – tępy ból przeszył pośladki. Kiedy minął pierwszy paroksyzm bólu, z niedowierzaniem spojrzałem na dziewczynę trzymającą w ręce swój but i śmiesznie podskakując na jednej nodze. Kobieta też przyglądała mi się rozbawiona. Określenie „sadosochistka” nie uczyniło na dziewczynie żadnego wrażenia.

Odwróciła się i zaczęła ściągać plecak, spod którego wyłonił się na lewej łopatce niewielki garb.

„Więc to dlatego ten plecak tak dziwnie się układał, po prostu wszystko co w nim miała, przesunęła na prawą stronę”. – mojemu zaskoczonemu spojrzeniu odpowiedziała niepewnym, przepaszającym nieledwie uśmiechem, poczym zapatrzyła w Czarny Staw.

Otaczały nas granitowe kolosy rozdarte zdałoby się ślepą furią jakiegoś potwora, surowością wysysające z serca ostatki wzruszeń – rzekłbyś kosmiczny kataklizm naznaczył je swą nieuchronnością.

Wzrok bezradnie przeskakiwał po spiętrzonych zerwach, upstrzonych tu i ówdzie zgniłozielonymi plamami porostów – gdyby te kamienne jeszcze przemówiły, nie trzaskiem pękania, nie lawiną jednak... Nad głowami zwieszało się ołowiane niebo dopełniając obrazu martwoty i opuszczenia. Jedyne na północy z rzadka cętkowana plamami światła, zaległa senna Kotlina Nowotarska. Od Hali zbliżały się w naszą stronę strzępy waty złowieszczą olbrzymiejąc z każdą chwilą i wznosząc się na spotkanie z ołowianym niebem. Bez słowa pozbieraliśmy rzeczy i bezzwłocznie rozpoczęliśmy zejście.

Mleczny tuman przykrył już całkowicie Halę Gąsienicową, sięgnął Karbu i niepowstrzymanie sunął ku górze. Po kilku minutach wszystko wokół zawirowało w wilgotnej, zmarzniętej mgle. Zaczęły szczełkać mi zęby, a ciałem wstrząsać dreszcze. Martwej ciszy nie mącił najłżejszy nawet podmuch. Nie miałem już jednak nic ciepłego. Ciągle widziałem niewyraźną postać dziewczyny i nieodległy kraniec ścieżki. Po pół godzinie doszliśmy do bardziej połogiej części grzbietu leżącej tuż nad przełęczą. W zatroskanym spojrzeniu dziewczyny wyczytałem ulgę niemal, chyba dlatego, że nie pada.

Mgła się przerzedziła na moment ukazując niewyraźną ścieżkę zawaloną olbrzymimi wantami. Korytarz pośród nich wyznaczył dalszą drogę. Wkrótce stanęliśmy na przełęczy nie bez zdziwienia spoglądając na kilka nieruchomych, skurczonych postaci. Wyglądały jak wielkie ptaki, smętnie zastygłe nad padliną.

Pod nami wolno defilowały szare kłęby mgły, Kościelec też był nimi spowity. Im niżej się opuszczaliśmy, tym częściej w oknach chmur pokazywał się nieodległy już brzeg, pusty. Ociepliło się też wyraźnie. Było już późno, coś po osiemnastej, gdy zeszliśmy z opustoszałego progu Czarnego Stawu, nie zatrzymując się nigdzie. Poranna, radosna gotowość ulotniła się gdzieś bez śladu. Była tylko mgła, smutek i my zagubieni we własnych rozmyślaniach. Ledwie zauważyliśmy szarą bryłę „Murowańca”, wyłoniła się z mgły jakaś obca i smętna, wtopiona z zamarły las. Prawie usprawiedliwiająco dziewczyna wyraziła swe wcześniejsze obawy, że jednak mieliśmy szczęście, bo ten mój strój... Uspokajająco dotknąłem jej ramienia pytając cichym głosem, czy pójdziemy gdzieś jeszcze razem. Spojrzała na mnie jakoś tak z przekorą, skinęła głową. W szybko zapadającym zmierzchu, który zamazał kontury zboczy, schodziliśmy przebytą rano trasą rozmawiając po drodze o banalnych sprawach. Obydwoje byliśmy znużeni, myślenie sprawiało trochę kłopotów. Dowiedziałem się, że Krystyna studiuje bibliotekarstwo w Warszawie i za rok rozpocznie pracę. I że jest to już któryś z kolei jej pobyt w Tatrach.

W zupełnych ciemnościach wkroczyliśmy na opustoszały plac w Kuźnicach, oświetlony jedną latarnią. Widziałem tylko usta dziewczyny, reszta twarzy pozostawała w cieniu. Dobiegł nas narastający warkot, parę chaotycznych zdań określiło jutrzejszy cel, reszta przepadła w spłoszonych spojrzeniach. Z głębi ulicy dobiegł zduszony, astmatyczny warkot i z cienia wyłonił się autobus, plując kłęбами czarnego dymu. Dalej już jej nie słyszałem, słowa zagłuszył przeraźliwy hałas silnika.

Jerzy Głoskowski



ROWEREM WZDŁUŻ WISŁY

Idea wyznaczenia szlaku rowerowego wzdłuż królowej polskich rzek nie jest zapewne nowa. Jest dolina Wisły krainą atrakcyjną turystycznie i krajobrazowo, ale jej poznawanie bywa skoncentrowane na powszechnie znanych obiektach i miejscowościach. Turyści zaglądają do znanych wszystkim miast, rzadziej zapuszczają się w miejsca z dala od centrów turystycznych. Do takich miejsc często nie dotrze się samochodem, a rower jest idealnym środkiem lokomocji.

By umożliwić poznawanie nadwiślańskich okolic jadąc na rowerze, wyznakowano dwa szlaki rowerowe łączące Toruń z Bydgoszczą i Toruń z Włocławkiem. Wykorzystano istniejące drogi leśne i polne, z konieczności także krótkie odcinki miejskich ulic. Oba szlaki będą blisko bądź w oddaleniu od samej rzeki, ale zawsze w ciągu doliny Wisły. W tym odcinku prezentuję Szlak Rowerowy Toruń - Włocławek otwarty oficjalnie 30.05.2004 r.

Początek w Toruniu na Pl. Rapackiego, 150 m przed mostem drogowym. Za nim zjazd w prawo na wał wiślany i do ruin **zamku Dybów**. Stąd brukowaną drogą jedziemy pod most i dalej asfaltową jezdnią wzdłuż **kempingu „Tramp”**. Dalej, w pobliżu Dworca Głównego PKP, krótko ul. Kujawską, wjazd na ul. Dybowską (objazd dla TIR-ów), przejazd przez torowisko przy moście kolejowym i wjazd na długą ul. Rudacką. Teraz jedziemy spory odcinek przez peryferyjną dzielnicę Torunia Rudak mijając zabudowę jednorodzinna i ogrody działkowe. Kończy się asfalt, jedziemy drogami szutrowymi przez nieużytki i laski dojeżdżając do Czerniewic, najdalej na pd. wsch. położonej dzielnicy Torunia. Główną ulicą Czerniewic jedziemy około 0,8 km. Ostry zjazd i przejazd tunelem pod autostradą, po chwili kończy się asfalt i wjeżdżamy na gruntową drogę leśną. Teraz jazda jest urozmaicona, nawierzchnia w wielu miejscach została poprawiona, ale jest parę kilkunastometrowych odcinków z piaskiem i trochę drobnego bruku. Jedziemy przez Brzozę Toruńską mając po prawej stronie wysoką krawędź doliny Wisły, a po lewej nadwiślańskie łąki i pola. Na odcinku 6 km jeden znaczny podjazd dostarczający w drodze powrotnej sporej radości podczas zjazdu. Zbliżamy się do **XII-wiecznego Otłoczyna**. W miejscowości 100-letni kościół, sklep i bar, w pobliżu młyn nad rzeczką Tążyną. Dobre miejsce na odpoczynek. Dalej lokalną asfaltową szosą do **Ciechocinka**, znanego uzdrowiska dźwigającego się z kilkuletniej zapaści. Trzeba przyznać, że prezentuje się dość korzystnie.

Przejazd przez jego centrum obok solankowej fontanny „Grzybek”, obok kościoła (XIX w, ciekawa rozbudowa w końcu lat 80. XX w.), dalej jedną z ulic na skraju miasta kierując się ku wyniosłemu brzegowi pradoliny Wisły i położonemu na nim **Raciążkowi**. To także stare historyczne miasteczko z XIII w. o dość burzliwej historii. Dojazd do Raciążka wymaga trochę wysiłku i umiejętności korzystania z przerzutki, bo wiedzie stromo pod górę. Serpentina szosy prawie jak pod Krowiarkami pokonuje kilkadziesiąt metrów różnicy poziomów między dnem a krawędzią doliny. Niezła zabawa podczas zjazdu. Zatrzymujemy się przy **ruinach zamku**. Dobre miejsce na odpoczynek i podziwianie widoku okolic Ciechocinka.

Z Raciążka zjeżdżamy ostro żuźłówką ku łąkom i polom na dnie doliny. W odwrotnym kierunku sporo pracy na podjeździe. Polną drogą jedziemy do Nieszawy. Z prawej strony ciąg wzgórz będących dobrym miejscem do wycieczek pieszych. A **Nieszawa** to miasteczko znane powszechnie z filmu „Wiosna, panie sierżancie”. Ma bogatą historię, ciekawy XV-wieczny kościół, zespół klasztorny z XVII w., zwartą małomiasteczkową zabudowę tworzącą swoisty klimat. Nieszawę od lat odwiedzają studenci malarstwa i konserwacji zabytków z UMK podczas plenerów. Można w tym miejscu przedostać się na drugą stronę Wisły na pokładzie **promu** o bocznołowym napędzie łopatkowym (nie jest to prom zabytkowy, jak można przeczytać w przewodniku po szlaku, tylko stylizowany, zbudowany w latach 90. ub. wieku).

Wyjeżdżamy z Nieszawy mając po prawej stronie wzgórze i wieś Przypust z **XVII-w. z drewnianym kościółkiem**. Kolejne kilka kilometrów po drodze gruntowej do wsi Wólne. Z prawej strony dochodzą **boczne dolinki** przecinające wzgórze. Teraz 2 km asfaltu do Włoszycy i znowu odcinek drogi żuźłowej. Jadąc na przemian drogami gruntowymi i asfaltowymi zbliżamy się do Lubania, przejeżdżamy pod linią energetyczną przerzuconą nad Wisłą, widać zakłady ANWIL na skraju Włocławka. Oddalamy się od Wisły, mijamy ANWIL, pod wiaduktem szosy nr 1 dojeżdżamy do drogi rowerowej wzdłuż „jedyńki”, którą jedziemy ok. 3 km.



Jesteśmy już we Włocławku, choć jeszcze spory kawałek przez las. Wreszcie wzdłuż osiedla mieszkaniowego dojeżdżamy do stacji kolejowej Włocławek Zazamcze, gdzie koniec szlaku znakowanego.

Krajobrazowo najciekawsze są odcinki Czerniewice - Otłoczyn - Ciechocinek, Ciechocinek - Raciążek - Nieszawa i Nieszawa - Przepust - Włoszyca. Mijane miejscowości warto są przeczytania opisów w przewodnikach z racji starej i bogatej historii. Nie wymaga rekomendacji Ciechocinek godzin zatrzymania się na dłużej. Tereny nadwiślańskie zasiedlane były w XVIII w. przez **osadników olenderskich**, po których pozostały cmentarze i zabudowania. W pobliżu Otłoczyna **schrony bojowe** z lat II wojny światowej.

Szlak omija szosę krajową nr 1, po której jazda rowerem bliska jest samobójstwu. Dla średnio zaawansowanego turysty rowerowego jazda nie stanowi problemu. Kilka trudniejszych miejsc wymaga większego wysiłku, ale... to w końcu szlak rowerowy, a nie „cyklostrada”. Długość szlaku 63 km, znakowanie kolorem czerwonym. Uwaga na znaki, na niektórych odcinkach możliwe trudności z orientacją ze względu na niszczenie oznakowania, zwłaszcza między Gąbinkiem a Włoszycą. Szlak został przygotowany wysiłkiem działaczy PTTK z Torunia i Włocławka we współpracy z władzami obu miast i okolicznych gmin. Utwardzono kilkanaście odcinków dróg leśnych. Bazą wypadową na oba szlaki łączące Toruń z Bydgoszczą i Włocławkiem oraz na inne trasy w okolicy może być wspomniany już kemping „Tramp”. OM PTTK w Toruniu wydał przewodnik po szlaku ze szczegółowym opisem historyczno-krajoznawczym i technicznym, z mapkami w podziałce 1:100.000 dostępny w Oddziale.

Tekst i foto:
Juliusz Wysłouch



SPOTKANIE Z IRLANDIĄ

Wdobie masowych wyjazdów w celach zarobkowych do Irlandii, a zwłaszcza do obleganej przez naszych rodaków stolicy – Dublin, warto pokazać choćby część znakomitych walorów krajoznawczych Szmaragdowej Wyspy.

Podążając ścieżkami przetartymi przez znajomych na początku lipca 2006 r., korzystając z tanich linii lotniczych (które zapewniają w miarę przyzwoity przelot za rozsądną cenę), znalazłam się w Dublinie, sercu życia kulturalnego, towarzyskiego i zarobkowego Irlandczyków, jak również rzeszy Polaków.

Po wyborze jednego w wielu przewoźników autobusowych udałam się w dalszą podróż, której celem było miasto Galway. Po szybkiej, podniebnej podróży, przyszedł czas na pouczającą, a zarazem przypominającą polskie realia, podróż autobusem. Dominującym rozwiązaniem z zakresu infrastruktury komunikacyjnej w Irlandii są ronda oraz jezdnie, które zupełnie nie są przygotowane na „przestrzenne ataki” turystów czy też siły roboczej napływającej w głównej mierze z lądowej części Europy. Stąd też podróż autobusem okazała się zupełnie chybionym rozwiązaniem, gdyż pokonanie ok. 270 km zajęło 6 godz. Pomijając fakt kilometrowych korków ulicznych, które stawały się szczególnie uciążliwe przy przejeżdżaniu przez centra kolejnych miast, stanowiących etapy podróży, należy zaznaczyć istotny wpływ na ograniczenia w ruchu pojawiających się na obszarach wiejskich stad krów i owiec. Zatem polecam skorzystanie z kolei, która zapewnia pokonanie 208-kilometrowego dystansu między Galway i stolicą Irlandii w ciągu ok. 3 godzin.

Promenada nad rzeką Corrid



sposób nie usłyszeć brzmiącego wśród przechodniów języka polskiego. W 2006 roku w 72-tysięcznym mieście żyło ok. 3000 Polaków.

Funkcjonuje tu wiele firm świadczących usługi turystyczne, które organizują głównie jednodniowe wycieczki autokarowe, zapewniające możliwość poznania najciekawszych zakątków hrabstwa Galway i Clare. Leniwszi turyści mogą poznać najciekawsze zabytki miasta, korzystając z autokaru i szczegółowej wiedzy przewodnika. Jednakże uwzględniając malowniczość terenu oraz możliwy dla niezbyt wprawionego w pieszych spacerach turysty zasięg występowania urokliwych zakątków (ok. 4 km drogi), serdecznie namawiam do samodzielnego poznawania. Oto przykładowa trasa spaceru.

Początek wyprawy należałoby zacząć przy Eyre Square – placu skupiającego na swoich obrzeżach szereg usług z administracji, handlu i gastronomii. Tu swoje miejsce mają puby, będące wizytówką Irlandczyków, serwujące słynny na całym świecie produkt browaru *Guinness*, dumę Irlandii, ciemne piwo typu *stout*. W centrum placu znajduje się Park Kennedy’ego, który jest miejscem spotkań, odpoczynku oraz w okresie festiwali występów.

W obrębie placu zlokalizowana jest mocno zarysowana w przestrzeni dominanta w postaci sześciometrowej *rzeźby ze stali*, autorstwa *Emonna O’Donnella*, będąca symbolem tradycyjnych, pływających niegdyś po zatoce Galway żeglownych łodzi, zwanych *hookers*. Kierując się w stronę *Shop Street* napotykamy na usytuowany na rogu *Shop Street* i *Abbeygate Street* *Lynch’s Castle* (Zamek Lyncha). Jest to najciekawszy, najlepiej zachowany dom kupiecki, którego urok tworzą liczne herby poszczególnych właścicieli oraz piękne, bogato zdobione kominki w jego wnętrzu. Obecnie swoją siedzibę ma tu *Allied Iris Bank*.

Warty zobaczenia jest również *pomnik Lyncha* zlokalizowany na rogu *Market Street*. Jego istotą jest symboliczny charakter lokalizacji, gdyż, jak głosi legenda, w tym właśnie miejscu w XVI w. burmistrz, uznając swojego syna za winnego morderstwa, osobiście go powiesił.

Oglądając kościoły Galway na uwagę zasługuje zlokalizowana przy *Lombard St.* *Kolegiata św. Mikołaja* z XIV w., znana ze swoich misternych, bogatych zdobień rzeźbiarskich, relikwii oraz ośmiu dzwonów.

Szczególnym zainteresowaniem cieszy się głównie przy okazji sobotniego targu, który jest okazją do nabycia zdrowej żywności oraz regionalnych przysmaków: serów, wypieków. Dla amatorów miłosnych historii dostępny jest do zwiedzania dom przy *Bowling St.*, w którym mieszkała w 1. połowie XX w. *Nora Barnacle*, żona pisarza *Jamesa Joyce’a*. Dom nawiązuje klimatem do początków XX w. W jego wnętrzu ogląda się szereg prywatnych przedmiotów, pamiątek, które zostały zgromadzone przez Norę w czasie jej burzliwego małżeństwa z ogarniętym furją, zazdrośnym mężem.

Wśród mostów Galway, łączących jego wschodnią i zachodnią część, za najciekawszy można uznać *Salmon Weir Bridge*. W odpowiednim czasie można podziwiać stąd ławice łososi płynących od drugiej połowy kwietnia do początków czerwca w górę *Corrib* na tarło. Kierując się w stronę doków i zatoki nie sposób pominąć *Spanish Arch* (*Hiszpański Łuk*). Jest to wzniesiona w 1594 r. budowla, której zadaniem jest ochrona nadbrzeża. Nazwa pochodzi od narodowości żeglarzy, którzy dokonywali przy niej licznych wyładunków galeonów.

Spacerując wzdłuż niej nie sposób nie zejść do *Galway Museum* (Muzeum miasta Galway) w celu poznania historii i najważniejszych w dziejach miasta wydarzeń. Spacer można w zależności od upodobań zakończyć przy rozciągających się wzdłuż *High Street* i *Shop Street* licznych sklepikach, butikach, kawiarniach i pubach lub udać się nad zatokę i stamtąd podziwiać zapierający w piersiach dech krajobraz wybrzeża.

Ważnym elementem życia Irlandczyków są sporty jeździeckie. Gdziekolwiek by się nie ruszyć, wszędzie można napotkać się na ośrodki jeździeckie. Część z nich wyposażona jest dodatkowo w bazę noclegową. Imprezą, którą żyją mieszkańcy Galway w okresie letnim, jest *Raceweek*, tj. trwające na przełomie lipca i sierpnia (30.07-05.08) wyścigi konne. Oprócz najlepszych, najszybszych koni w Irlandii, jak również poza jej granicami, podziwiać można najwytworniejsze wspiarki.

Szablonowym celem przeciętnego turysty przyjeżdżającego do Irlandii są klify. I ja również, podążając śladami moich współlokatorów, udałam się na jednodniową wycieczkę po zakątkach *hrabstwa Galway i Clare*. Pierwszym etapem było zwiedzanie piętnastowiecznego zamku *Dunguaire*. Sam zamek nie stanowi większej atrakcji, jednakże jego nadbrzeżne położenie przy uwzględnieniu napływów i odpływów znacząco zmienia odbiór miejsca. Kamienisty, trawiasty krajobraz, ubogi w szatę roślinną jest wizytówką surowego, a jednocześnie bardzo orzeźwiającego klimatu Irlandii. Następnym przystankiem była portowa wioska rybacka *Kinvara* z ofertą nabycia świeżych ryb (surowe, wędzone i pieczone). Kolejno udaliśmy się do jaskini *Aillwee Cave*. W Irlandii jest ona rozreklamowana jako jedyne miejsce nieżyjących już na wyspie niedźwiedzi brunatnych. Jednakże moje odczucia co do uroków jej wnętrza nie są zbyt silne. Wśród eksponatów jest zaledwie parę kości niedźwiedzi, ich legowisko i wyschnięta podziemna rzeka. Na uwagę natomiast zasługuje kamienisty krajobraz roztaczający się wzdłuż linii horyzontu. Zatem *Alliwee Cave* nie należy traktować jako celu samego w sobie.



Za Cliffs of Moher – tylko ocean

Na uwagę w tym wypadku zasługuje urocza okolica, która jest gratką dla amatorów fotografii. W programie znalazł się również zamek *Leamanagh*, który stanowi przede wszystkim przykład średniowiecznej architektury i kolejny dowód na ogromną ilość kamienia, który jest i był znakomitym materiałem budowlanym.

W ten sposób dotarłam do głównego celu wycieczki, a mianowicie do *Cliffs of Moher*. Potęga natury doskonale obrazują zapierające dech w piersiach klify. Zatem, pomimo ogromnej liczby zjeżdżających turystów, warto, a nawet trzeba je zobaczyć. Klify „wyrastają” wprost z oceanu na wysokość 200 m i rozciągają się na długości 8 km. Dla turystów, niestety, wydzielony jest do zwiedzania jedynie odcinek około czterystumetrowy. Pozostała część zamknięta i ogrodzona. Jednakże część niepokornych, ciekawskich turystów (w tym również ja), udaje się na własną rękę na tereny ogólnie zakazane.

Po zatrzymujących krew w żyłach doświadczenia związanych z penetrowaniem wąskich przejść w obrębie klifów udaliśmy się do *Doolin* – niewielkiego miasteczka turystycznego położonego na zachodnim wybrzeżu hrabstwa Clare.

Osada uznawana jest za jedno z najważniejszych centrów tradycyjnej [muzyki irlandzkiej](#). Choć pubów w miasteczku niewiele, to jest ona grywana i żarliwie słuchana w nich co wieczór. W Doolin znajduje się również jeden z portów, z których można popłynąć statkiem na [Arany](#) – grupę trzech, obleganych przez turystów wysp. Kolejne przystanki poświęcone były podziwianiu przyrody irlandzkich nabrzeży. Ostatnim etapem wycieczki stała się latarnia morska *Blackhead*.

Mimo iż krótka, trasa ta doskonale obrazuje bardzo malownicze, a jednocześnie surowe i ponure zakątki wyspy.



Miasteczko Dolin

Marta Kukula

BORNHOLMSKIE WĘDROWANIE

Wyjazd na Bornholm zdarzył mi się niespodziewanie. W czasie pięciogodzinnej komfortowej podróży promem ze Świnoujścia na tę położoną na Bałtyku, należącą do Danii, małą wyspę uzmysłowiłam sobie, że niewiele wiem ponad to, że wyruszali z niej na swe łupieżcze wyprawy wikingowie. Zaskoczyły mnie dwie rzeczy. Pierwsza to ciepły, łagodny klimat. Spodziewałam się surowej roślinności znoszącej lodowate wiatry, a dojrzewające na drzewach figi! A druga? To, że Bornholm robi wrażenie wyspy bezładnej.

Na uliczkach nie widać niemal nikogo, jest cicho i spokojnie. Zdumiały mnie też stojące przy bramach ogródków półeczki z wyhodowanymi warzywami. Obok nich ceny i słoik na pieniądze. Kupujący bierze jarzyny i wrzuca monety. I tyle. Kontakty towarzyskie nie są tym, co Bornholmcy lubią najbardziej. Wyspa jest bardzo urozmaicona. Jej część środkową porastają lasy, zaś liczącą około 100 km linia brzegowa oczarowuje stromymi skałami na północy, na cyplu Hammeren, złocistą, szeroką plażą na południu, w kurorcie Dueodde, a w innych miejscach piaszczystymi zatoczkami ukrytymi wśród kamienistych wzniesień. Urody dodaje im turkusowy odcień morza.

Puste drogi ciągną się wzdłuż rozległych pól uprawnych, gdzieniegdzie widać farmę, sylwetkę wiatraka. Najlepiej mają tu rowerzyści, Bornholm jest dla nich stworzony. Gdzież indziej znajdą 200 km wygodnych tras tylko dla siebie? A niezwykłych miejsc, takich jak magiczny krąg kamieni w Gryet, dotrzeć można tylko pieszo lub na rowerze. Dobrze wziąć rower ze sobą lub wypożyczyć na miejscu. Jego przewóz w obie strony kosztuje tylko nasze 30 zł, tyle co wynajęcie go na jeden dzień. Ale uwaga: teren jest pagórkowaty, trzeba mieć dobrą kondycję.

Co warto jeszcze zobaczyć na Bornholmie? Na pewno malowidła naskalne sprzed 2 tys. lat i liczne romańskie kościoły. Najśłynniejszy z ich w kształcie rotundy znajduje się w Osterlars. Zachęcam też, by zrobić wycieczkę do Hammershus, ruin największego w Skandynawii średniowiecznego zamczyska. Idzie się tam przez wrzosowiska i zabytkowy most aż na szczyt granitowego urwiska, o które uderzają morskie fale. Widok jest niezwykły. Dla dzieci dużą atrakcją jest Centrum Średniowieczne. Mogą w odtworzonej dawnej wiosce zobaczyć pracujących rzemieślników w strojach z epoki, w obozowisku turniej rycerski, a nawet same postrzelać z łuku lub ulepić garnek. Ale przede wszystkim są tu cudowne plaże i świetne miejsca do kąpieli. Po południu można długo wędrować brzegiem morza. Miło jest też posnuć się po uroczych miasteczkach i rybackich portach, takich jak Allinge czy Gudhjem. Zachowały dawny klimat dzięki kolorowym parterowym domkom. Trudno oprzeć się i nie zaglądać do galerii i butików. Specjalnością miejscową są wyroby z ceramiki i świetlistego szkła o barwach Bałtyku. Mnie podobało się najbardziej to, że wszelkie dzieła – czy to szklane naczynia, czy malowane jedwabie – powstawały na naszych oczach. Pracownie artystów są połączone ze sklepami, twórcy chętnie pokazują swoje prace.

Bardzo polubiłam miasteczko Svaneke, znane z produkcji bornholmskich biało-czerwonych cukierków (też robionych na naszych oczach). Trafiłam na dzień targowy i ukwiecony rynek wyglądał bajecznie. Zrobiłam sobie przyjemność przejażdżką dawnym konnym tramwajem aż do położonej nad morzem pięciokominowej wędzarni śledzi – tzw. bornholmerów. Wędzarnie, tyle że mniejsze, stanowią nieodłączny element pejzażu. A o rozkoszach podniebienia pisać by długo. Świeżo wędzone na olchowym drewnie węgorze, łososie, makrele, morskie pstrągi, krewetki inne owoce morza... Ale by zjeść specjalnie przyrządzonego śledzia z jajkiem i szczypiorkiem, do którego podają czarny chleb ze smalcem, trzeba zrobić piękną morską wycieczkę. Godzina podróży stateczkiem dzieli Bornholm od miniaturowego archipelagu Ertholmene. Dwie jego połączone mostkiem skaliste wysepki, ufortyfikowane w XVII w. – Christiansø i Fredriksø – są zamieszkałe przez 120 osób. Trzecia tylko przez ptaki, jako że stanowi rezerwat ornitologiczny.

Elżbieta Wójcik

FIŃSKIE FOTOSAFARI

Każdą podróż przeżywamy powtórnie oglądając zrobione podczas niej zdjęcia. Fińska przyroda jest wdziałym tematem do fotografii i z podróży można przywieźć unikatowe ujęcia. Stowarzyszenie fotografów przyrody jest jednym z największych na świecie i bogate w sukcesy. Co roku odbywa się konkurs na najlepsze zdjęcie, a na sędziów zaprasza się światowe gwiazdy fotografii. Co w 2006 r. uznał za najwybitniejsze zdjęcie słynny amerykański fotografik Arthur Morris, można zobaczyć pod adresem <http://www.luontokuva.org>.

Co w Finlandii fotografować? Wszyscy wiedzą, że to kraj 188.000 jezior. Unikatowe jest to, że wodzie towarzyszą tu prawie zawsze granitowe skały. Nawet na terenach prawie równinnych spod moren wylazą one jak wyspy wyszlifowane przez lodowiec. Gdzie indziej skalne ściany lub urwiska spadają wprost do jeziora lub zaciskają się wokół wodospadów i bystrzy. Ciekawie też wyglądają wyschnięte i wzięte pod uprawę zatoki morskie lub dna jezior, gdzie z pola pszenicy wyrastają kilkudziesięciometrowe granitowe skały. Pełznący lodowiec wyszlifował północno-zachodnie i południowo-wschodnie zbocza masywów skalnych, innym stronom pozostawił dramatyczne formy.

Miłośnicy ptaków mają też co fotografować. Naturalne bogactwo świata ptactwa wodnego z gatunkami arktycznymi i morskimi jest łatwe do podejścia w parkach narodowych, gdzie dyskretnie rozmieszczone wieże obserwacyjne pozwalają podejrzeć żurawie, nury i całą latającą faunę. Na ostrożne głuszce, których jest coraz więcej, trzeba iść z przewodnikiem, natomiast orły mało się ludźmi przejmują. W Laponii dodatkowo można obserwować m.in. pardwy i sowy polarne oraz przelotne gatunki zmierzające na Morze Barentsa, Szpicbergen i Nową Ziemię. Niedźwiedzie można oglądać i fotografować w prowincji Kajnu, gdzie profesjonalni przewodnicy pobudowali ukrycia w pobliżu miejsc przez nie odwiedzanych. Oczywiście sfotografowanie niedźwiedzia w naturze wymaga dużo cierpliwości i trochę szczęścia.

Arktyczna Laponia to całkiem inny temat. Wzgórza zwane tunturi są pozostałością łańcucha gór, który wypiętrzał się ongiś na 4000 m, ale lodowce i erozja bardzo je nadgryzły. Porasta je teraz karłowata roślinność tundry, głównie karłowate brzoźki i sosny, które po dwustu latach rośnięcia osiągają 8-10 m i powykręcane wicherami nabierają ekspresyjnej formy. Najbardziej spektakularną porą roku jest „ruska aika”, czyli okres pierwszych wrześnieowych nocnych mrozów, kiedy wszystkie liście nabierają złotych-czerwonych barw, a w niskim słonecznym świetle kolory płoną na tle głębokiego błękitu nieba.

Lapończycy używają okazjonalnie narodowych strojów, głównie w święta, a także tam, gdzie trafiają się turyści. Reniferów jest dużo i wędrują wszędzie, należy uważać na nie na drogach, ale też można łatwo uwiecznić ich imponujące poroża. Psie zaprzęgi spotyka się w okolicach centrów turystycznych. Zimą śniegu spadają ogromne ilości, a wichry opakowują drzewa grubą warstwą ubitego pyłu śnieżnego, więc bardziej przypominają one rzeźby lub stalaktyty niż świerki czy sosny.

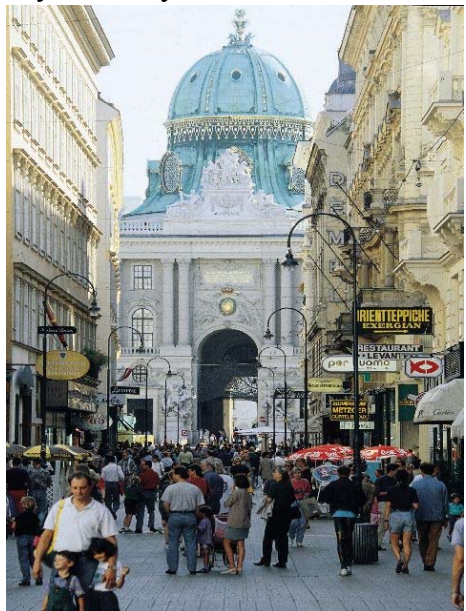
Ukoronowaniem wyprawy do Laponii mogą być zdjęcia zorzy polarnej. Wymaga to dobrego sprzętu i ubrania. Bezchmurne noce za Kręgiem Polarnym są bardzo zimne, ale z reguły bezwietrzne. Żeby zrobić dobre zdjęcia zorzy, trzeba po jej zauważeniu oddalić się od swojego domku czy hotelu i znaleźć miejsce, gdzie rozproszone światła elektryczne nie osłabiają efektów zorzy. Nie trzeba się spieszyć – świetlny show na niebie trwa godzinami. Dobrze jest zabrać ze sobą statyw i termos z grogiem. Zorze najczęściej występują we wrześniu i marcu, ale kiedy indziej w zimie też je widać, co kilka dni. W białe letnie noce jest oczywiście zbyt jasno.

Prognoza zorzy polarnej znajduje się pod adresem www.geocities.com/rikkonen/revontulet/
Stowarzyszenie fotografów przyrody www.luontokuva.org
Portal o fińskiej przyrodzie nolku.net

Fiński Ośrodek IT

CO NOWEGO W WIEDNIU?

Stolica Austrii oferuje turystom wciąż nowe atrakcje. Nakłania ich tym samym do dłuższego pobytu w tym mieście, bo o tym, że warto zobaczyć Wiedeń, wie każdy miłośnik historii, architektury, sztuki czy też muzyki.



Wiedeń starannie przygotował się na przyjęcie gości w miesiącach letnich. Od 1 czerwca do 30 września działa SandCity Vienna – plaża w środku miasta. Tysiące ton piasku, palmy, zbiorniki wodne, boiska do siatkówki i piłki plażowej tworzą nad Dunajem, w sąsiedztwie Konzerthausu prawdziwie plażową atmosferę. Całości dopełnia 14 barów i... park rzeźb z piasku, gdzie odtworzone są najsłynniejsze budowle Europy: od Wieży Eiffla po Akropol, osiągające do 8, 5 m wysokości. Zupełnie inną atrakcją miasta jest M-Ars, czyli supermarket z dziełami sztuki nowoczesnej (głównie malarstwo, ale nie brak też grafiki i rzeźby) wykonanymi przez młodych artystów, czyli, jak głosi motto nowej placówki, „prawdziwa sztuka za dobrą cenę”. Jednocześnie prezentowanych jest tysiąc prac stworzonych przez 50 artystów wybranych przez profesjonalne jury. Ten nietypowy supermarket przy Westbahnstraße 9 czynny jest od godz. 10 do 19 (poniedziałki i wtorki), do 20 (czwartki i piątki) lub do 18 w soboty.

Wiedeń w sezonie turystycznym. Fot. Gerhart Weinkirn.

Nie wszyscy przyjeżdżający do Wiednia mieli już okazję obejrzeć, chociaż prezentowane są już od ponad trzech lat, muzealne atrakcje Wiednia: Muzeum Liechtensteinów i stałą ekspozycję poświęconą cesarzowej Elżbiecie w wiedeńskim Hofburgu. Ta ostatnia, zwana Muzeum Sisi, została zainaugurowana 150 lat po zaślubinach księżnej Elżbiety z cesarzem Franciszkiem Józefem I i mieści się w dawnych komnatach pary cesarskiej. Prezentowana jest tu pośród portretów i licznych pamiątek (jak np. jedna z nielicznych zachowanych sukien letnich cesarzowej) m.in. zrekonstruowana salonka, którą Sisi odbywała liczne podróże po Europie.

Muzeum Liechtensteinów, mieszczące się w dawnym pałacu należącym do tej bogatej książęcej rodziny (Fürstengasse 1) prezentuje wspaniałe zbiory z kolekcji Liechtensteinów: podobno największą w świecie kolekcję prac Rubensa, dzieła van Dycka, Rafaela, Rembrandta... i książeczą bibliotekę. Warto także odwiedzić wspaniały barokowy park pałacowy oraz, jeśli pozwolą środki finansowe, usytuowaną w nim restaurację „Ruben’s Palais”.

Zwiedzanie Wiednia zdecydowanie ułatwia Wiedeńska Karta Rabatowa Wien-Karte, dająca zniżkowe wstępy do większości muzeów, inne zniżki i rabaty oraz zastępująca 72-godzinny bilet sieciowy na komunikację miejską. Wszelkie informacje potrzebne turystom można w jęz. polskim (!) znaleźć na stronie internetowej Wiedeńskiej Informacji Turystycznej www.wien.info/pl. Informuje ona o atrakcjach turystycznych, wydarzeniach kulturalnych (w Wiedniu wciąż odbywają się m.in. liczne koncerty zarówno muzyki klasycznej, operetkowej, jazzowej, jak i awangardowej XXI w.), hotelach, zakupach, gastronomii. Umożliwia też dokonanie rezerwacji *online* miejsc noclegowych. Po przybyciu do stolicy Austrii warto w pierwszej kolejności odwiedzić biuro Tourist-Info Wien, położone bezpośrednio przy słynnej wiedeńskiej operze, czynne codziennie w godz. 9-19, oferujące oprócz informacji ustnych i możliwości zakupu Wiedeńskiej Karty Rabatowej, pomocy w rezerwacji noclegu także darmowe broszury i plany miasta z opisami w jęz. polskim.



Widok na Stephanskirche. Fot. Archiwum.

Maria Pilich

TERAKOTOWA ARMIA W WIEDNIU

Blisko 160 figur żołnierzy i koni naturalnej wielkości z terakoty (wypalanej gliny) zaprezentowano na niezwyklej wystawie. To prawdziwa wyprawa w świat fascynującej kultury Chin sprzed 2000 lat.



29.04.-26.08.2007 – Künstlerhaus, Karlsplatz 5, Wiedeń

Rzeźby zostały odnalezione przez chińskich rolników w 1974 r. podczas kopania studni. Prace archeologiczne ukazały światu znajdującą się w grobowcu pierwszego chińskiego cesarza Qin Shi Huang Di armię składającą się z ośmiu tysięcy figur wojowników na koniach, łuczników kuszników, żołnierzy piechoty trzymających miecze, piki i inne akcesoria wojenne.

Armia miała, według wierzeń, bronić cesarza w życiu poza grobowym i zapewnić mu władzę. Od kilku tygodni stanowi ona dodatkową atrakcję naddunajskiej stolicy, budząc powszechną sensację i podziw. Wystawa czynna jest codziennie, godz. 10-20, w każdy czwartek do godz. 21 (ostatnie wejście godzinę przed zamknięciem wystawy). Ceny biletów: normalny: 12 € ulgowy: 10 € grupowy (od 20 osób): 10 € dzieci do 6 lat: wstęp wolny dzieci 6-14 lat: 8 € szkoły: 7 € bilet rodzinny: 34 € (dwoje dorosłych + 2 dzieci).

AOIT

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

NOWE ATRAKCJE TURYSTYCZNE WARSZAWY

Latem wielu turystów odwiedza Warszawę. Gospodarze co roku przygotowują w tym mieście wiele atrakcji. Tak też się stało i teraz. Najnowszą inicjatywą są koncerty na żywo na Wielkich Organach Bazyliki Archidiecezjalnej w katedrze św. Jana na Starym Mieście. Odbývają się one codziennie oprócz niedziel o godz. 12 do 22 września. Wykonywany jest m. in. utwór Mieczysława Surzyńskiego – legendarnego organisty katedry warszawskiej, za życia zwanego polskim Bachem. Dodatkową atrakcją jest zwiedzanie po koncercie podziemi katedry. A przecież wiadomo, że w grobowcach tej świątyni spoczywają chociażby król Stanisław August Poniatowski, prezydent RP Gabriel Narutowicz, premier Ignacy Jan Paderewski, laureat Nagrody Nobla Henryk Sienkiewicz czy prymas Stefan kardynał Wyszyński. Wszystkich zwiedzających Warszawę warto zachęcić, by znaleźli chwilę wypoczynku od letniego skwaru w zaciszu warszawskiej katedry łącząc to z artystycznym przeżyciem, jakim jest koncert organowy.

Inną atrakcję przygotował Zakład Transportu Miejskiego. Uruchomiono bowiem Warszawskie Linie Turystyczne. Jedną z nich jest linia tramwajowa **T**. Tym turystycznym tramwajem można zwiedzić Warszawę jadąc od Pl. Narutowicza przez Filtrową i Nowowiejską do Pl. Zbawiciela, a następnie Marszałkowską i Andersa aż do Mostu Gdańskiego. Tramwaj wraca do centrum przez Most Śląsko-Dąbrowski, następnie jedzie Trasą W – Z, czyli Al. Solidarności przez Pl. Zawiszy i kończy bieg na Pl. Narutowicza. Jadąc tym tramwajem pozna się i przypomni widoki centrum i przejedzie przez dwa ważne mosty.

Z okien tramwaju zobaczymy nie tylko sylwetkę Pałacu Nauki i Kultury, słynną rotundę PKO, ale również Ogród Saski czy Warszawskie ZOO. Trzeba tylko pamiętać, że turystyczny tramwaj T kursuje co 45 min. w soboty i niedziele.

Jeszcze więcej zabytków Warszawy zobaczymy jadąc piętrowym autobusem turystycznym linii **100**. Również i ten autobus kursuje w soboty i niedziele co 2 godz. Podróżując nim zobaczymy nie tylko Dworzec Centralny czy Pałac Nauki i Kultury, ale przejedziemy też Trasą Łazienkowską, ul. Marszałkowską i Wisłostradą. Zobaczymy też Pl. Piłsudskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza. Jadąc fragmentem Krakowskiego Przedmieścia każdy zatrzyma wzrok na Kolumnie Zygmunta i Zamku. Autobus 100 jedzie również koło Muzeum Powstania Warszawskiego i cmentarza na Powązkach. Oczywiście nie zabraknie przejazdu najnowszym mostem Warszawy, tj. Mostem Świętokrzyskim.

Uruchamiając turystyczne trasy wycieczkowe Warszawa dołączyła do wielu miast Europy, chociażby Wiednia, Dublina, Londynu czy Paryża, gdzie takie trasy funkcjonują od lat.

Stanisław Dziuba

WIEŚCI Z BRACTWA KRZYŻOWCÓW

W dniach 24-27 maja br. w dolnośląskie) odbyła się 41. osoby z Polski (44), Niemiec (6) i blisko 180 obiektów, z czego 45 w Najwięcej było krzyży pokutnych kolumn maryjnych (12), pomników obejrzelśmy płyty nagrobne (ponad (6) oraz szubienicę (1). Widzieliśmy Gryf i Świecie koło Mirska.



Świeradowie-Zdroju w pow. lubańskim (woj. Biesiada Pokutna, w której uczestniczyły 54 Czech (4). W trakcie spotkania odwiedziliśmy Polsce, 115 w Czechach i 18 w Niemczech. (32), figur św. Jana Nepomucena (30), figur i Św. Trójcy (5) i innych świętych (80). Ponadto 20), kamienie graniczne i inne (13), kapliczki ruiny zamków Karlsfried koło Żytawy oraz

Zwiedziliśmy zamek Czajków (Czocha), a także dwie zapory wodne: w Złotnikach Lubańskich i Leśnej. Dotarcie do krzyża pokutnego w saskiej wsi Hertigswalde ustanowiło nowy, położony najdalej na zachód, punkt biesiadny na mapie.

Ciekawym był też pobyt w punkcie trójstyku granic Polski, Czech i Niemiec, do którego doszliśmy od strony czeskiej z Hrádka nad Nisou. Łącznie, w ciągu trzech dni, przejechaliśmy blisko 500 km, przekraczając polskie, czeskie i niemieckie granice aż... 17 razy (10 razy w piątek i 7 razy w sobotę). Jak na wewnątrzunijne granice przystało, ich przekraczanie okazało się szybkie i łatwe, niekiedy nawet miłe, bez najmniejszej kontroli. Krótką relację z 41. BP, wraz z kilkunastoma zdjęciami, można obejrzeć na stronie internetowej <http://www.suehnekreuz.de/forscher/berichte01.html>.

Podczas 41. BP, w piątek 25 maja, byliśmy m. in. w Sieniawce koło Bogatyni, gdzie oglądaliśmy krzyż pokutny wmurowany w ogrodzenie cmentarza przykościelnego. Wspomniałem wówczas o Stanisławie Dziedzicu, który późnym latem w 2006 r. odsłonił dolną część krzyża ujawniając jego osobliwą, poszerzoną stopę, a następnie zadbał o jego pełne wyeksponowanie poprzez wykonanie specjalnie zabezpieczonego zagłębienia przy krzyżu, które miało umożliwiać do niego swobodny dostęp. Przed 41. BP nawiązałem kontakt z p. Stanisławem gratulując odsłonięcia dolnej części krzyża i szczegółowo informując go o pozostałych pięciu krzyżach wzmiankowanych w dawnej literaturze w tejże wsi, a także o dwóch zaginionych krzyżach w sąsiedniej, dziś już nieistniejącej, wsi Biedrzychowice Górne. Zasugerowałem, aby przy okazji kontynuowania remontu nawierzchni placu przed kościołem i samego muru cmentarnego w Sieniawce spróbować odnaleźć drugi krzyż, znajdujący się na zachód od bramki, który to krzyż już od końca XIX w. uchodził za zaginiony. Jednocześnie zaproponowałem spotkanie z uczestnikami 41. BP, podczas naszej bytności w Sieniawce, aby opowiedzieć o odsłonięciu krzyża, na co p. Stanisław ochoczo przystał (mieszka on zaledwie 150 m od kościoła i krzyża). Niestety, z powodu pilnego wyjazdu nie mógł on być akurat w tym dniu na miejscu i do naszego wspólnego spotkania nie doszło.

Jednakże, na podstawie uzyskanych wcześniej ode mnie wskazówek, już następnego dnia, w sobotę 26 maja w godzinach popołudniowych, podczas kontynuacji remontu muru, Stanisław Dziedzic z Mateuszem Kupałą z Sieniawki i Tomaszem Tomczykiem z Czerniawy-Zdroju, zbijając kolejny fragment tynku, odsłoniли drugi krzyż pokutny w Sieniawce. My w tym czasie byliśmy zaledwie kilkanaście kilometrów dalej, zwiedzając krzyże pokutne w Żytawie i Górach Żytawskich, nic o tym odkryciu nie wiedząc. Tę rewelacyjną wiadomość p. Stanisław przekazał mi telefonicznie do domu dopiero po zakończeniu 41. BP. Nie czekając ani chwili pojechałem nazajutrz do Sieniawki (30 maja), gdzie spotkałem się z p. Stanisławem, po raz kolejny gratulując mu odkrycia. Wspólnie ustaliliśmy, że otoczenie krzyży nie będzie tynkowane, a sam mur zostanie poddany jedynie koniecznej konserwacji i uszczelnieniu (spoinowaniu). P. Stanisław zapowiedział, że część muru na prawo od bramki zostanie także pozbawiona tynku, a tworzący ją kamień z cegłą będzie podobnie zakonserwowany. Nie wykluczył też, planowanej wcześniej, wycinki dwóch drzew przy bramce. Ponieważ w pobliżu kościoła był dawniej wzmiankowany jeszcze jeden krzyż wolnostojący, a przy tzw. *kościelnej drodze* do Biedrzychowic Górnych trzy kolejne krzyże, wyraziłem przypuszczenie, że przed laty mogły one zostać wmurowane dla zabezpieczenia, i jeśli tak się stało, to może uda się je odsłonić podczas obecnego remontu muru.

Drugi krzyż pokutny w Sieniawce znajduje się pomiędzy bramką cmentarną a pierwszym krzyżem. Jego głowa jest odłamana i wmurowana nad ramionami z niewielkim przesunięciem w lewo. Być może posiada on podobną stopę, jak pierwszy krzyż, co powinno się ewentualnie ujawnić podczas dalszych prac. W razie usunięcia rosnącego tuż obok drzewa będzie możliwe wykonanie wykopu, jak przy pierwszym krzyżu, i pełne odsłonięcie drugiego krzyża. Jest to oczywiście możliwe także bez usuwania drzewa, ale wówczas może dojść do naruszenia jego korzeni sięgających muru i krzyża. W dniu 30 maja, po częściowym odsłonięciu, drugi krzyż mierzył: 51 (+ 26 głowa) x 84 x pow. 5 cm, piaskowiec, rytów brak, typ łaćniński.

Kolejna 42. Biesiada Pokutna odbędzie się 14-16 września br. w mieście **Jelcz-Laskowice** w pow. oławskim (woj. dolnośląskie). Zainteresowanych udziałem w spotkaniu proszę o przesłanie wpisowego w kwocie **200 zł** (dwieście zł) najpóźniej do **14 sierpnia br.** na adres:

BRACTWO KRZYŻOWCÓW PTTK
58-100 Świdnica, skrytka pocztowa nr 169

Korzystając z zaproszenia Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu, program 42. Biesiady Pokutnej został włączony w obchody Europejskich Dni Dziedzictwa, które z inicjatywy Rady Europy i pod patronatem Unii Europejskiej odbędą się w wielu krajach Europy, w tym także w Polsce, 7-16 września br. Elżbieta Berendt, kierownik tegoż Muzeum m. in. napisała, iż „*Dni te należą do najważniejszych europejskich wydarzeń kulturalnych o charakterze edukacyjnym. Promując szczególnie interesujące, często unikatowe, zabytki przyczyniają się do kształtowania postaw otwartości na kulturową różnorodność, wzmacniają poczucie identyfikacji z miejscem swojego zamieszkania, rozbudzają zainteresowanie lokalnych społeczności zarówno własną historią jak i wspólnym dla wszystkich krajów europejskich dziedzictwem kulturowym*”.

Tematem przewodnim tegorocznych obchodów będą: „**Ludzie gościńca. Wędrowcy, pielgrzymi, tułacze**”. Temat ten obejmie wszystkie aspekty podróżowania, pielgrzymowania, wędrowania i to zarówno w sensie fizycznym jak i duchowym, realnym i symbolicznym. Obchody – wykorzystując szeroko rozumiany motyw drogi, mają być okazją do zaprezentowania zabytków kultury materialnej i duchowej, poczynając od kapliczek przydrożnych, miejsc pielgrzymkowych, karczem, przez zabytki techniki, a kończąc na obrzędach związanych z przejściem ze świata żywych do świata zmarłych.



Dodam, że jednym z elementów programu obchodów tych Dni będzie prelekcja o śląskich krzyżach pokutnych w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu (ul. Traugutta 111/113) 8 września br. (sobota) o godz. 12, na którą zapraszam. Wstęp wolny.

Andrzej Scheer – prezes Bractwa Krzyżowców przy odkrytych w Sieniawce krzyżach. Fot. Anna Scheer.

Andrzej Scheer

PROGRAM RODZINNEGO SPOTKANIA NA SZLAKU GORCE – TURBACZ 23 – 26 sierpnia 2007

Spotykamy się w schr. PTTK na Turbaczu. Będziemy tu od czwartku do niedzieli. Spotkanie będzie miało charakter towarzysko-turystyczny, jak to zwykle bywało. Przewiduję oczywiście, prócz wycieczek górskich, także przedwieczorne czytanie bajek zgromadzonej dziatwie. Obejrzymy zdjęcia z pierwszych wypraw naszych dzieci, a także z pierwszych naszych wypraw, kiedy byliśmy pacholętami. Do dyspozycji **rzutnik do fotek** i ekran, więc można zabrać nawet „starodawne” czarno-białe zdjęcia. Będzie okazja do porównania naszych górskich debiutów. Myślę, że pobyt w schronisku posłuży poznaniu nowych gospodarzy, którymi są państwo Długopolscy. Na wycieczkach w górach zachowujemy umiar i rozsądek, w końcu Gorce to nie tor Formuły 1. W razie sytuacji wymagającej pomocy można dzwonić **do schroniska na (018) 266 77 80, 602 118 889 (tamże rezerwacja noclegów)** lub do GOPR 601 100 300, (018) 985 lub na numer 514 824 291, czyli niżej podpisanego. Oczywiście wycieczki podejmujemy na własną odpowiedzialność jako w pełni świadomi turyści. Proszę nie gardzić mapą i przewodnikiem, a w razie wątpliwości nie wstydić się pytać. Przecież nie każdy musi znać góry perfekcyjnie, wśród nas na pewno są osoby znające Gorce lepiej lub gorzej. Bądźmy sobie wzajemnie pomocni. Wycieczki w góry będą podejmowane zapewne w niewielkich zespołach. Dobierajmy się pod kątem zainteresowań i możliwości. Jeśli wycieczka przedłuży się ponad przewidziany czas, powiadomić „centrum dowodzenia”, czyli mnie 514 824 291 lub schronisko (numery podane wyżej). Posiłki każdy organizuje we własnym zakresie. Spotkania poranne i wieczorne w świetlicy (sali telewizyjnej). Uwaga! Wpisujemy się do **Zeszytu wyjść w góry**.

23.08. czwartek - przybycie i zakwaterowanie uczestników, wpisy do zeszytu na listę uczestników

- godz. 19.00 „Wieczorynka” dla małych dzieci
- godz. 20.30 spotkanie wieczorne w świetlicy (1piętro)

24.08 piątek - godz. 9.00 poranne spotkanie po śniadaniu

- od godz. 9.00 wycieczki w zesp. wielorodzinnych lub towarzyskich
- godz. 18.00 „cała turystyczna Polska czyta dzieciom” czyli wieczorne czytanie bajek
- godz. 19.00 „Wieczorynka” dla małych dzieci
- godz. 20.30 spotkanie wieczorne – „nasze górskie debiuty”

25.08 sobota - godz. 9.00 poranne spotkanie po śniadaniu

- od godz. 9.00 wycieczki w zesp. wielorodzinnych lub towarzyskich, „jagodobranie” (szczegóły na spotkaniu porannym)

- godz. 18.00 „Cała turystyczna Polska czyta dzieciom”, czyli wieczorne czytanie bajek
- godz. 19.00 „Wieczorynka” dla małych dzieci i „jagodojedzenie”
- godz. 20.30 spotkanie wieczorne, **spotkanie z gospodarzami schroniska**
- prezentacja dokonań turystycznych naszych dzieci (albumy, dyplomy, zdjęcia, przechwałki)

26.08 niedziela - godz. 9.00 poranne spotkanie po śniadaniu, w tym wspólne zdjęcie przed schroniskiem

- oficjalne zakończenie Spotkania - pożegnanie
- wyjścia na niedzielne wycieczki lub na mszę do kaplicy pod Turbaczem (20 min.)

Julek Wystouch

IMPREZY W SIERPNIU

02-05.08.2007 – OGÓLNOPOLSKA TURYSTYCZNA GIEŁDA PIOSENKI STUDENCKIEJ, SZKLARSKA PORĘBA

03.08.2007 – VII MIĘDZYNARODOWE MISTRZOSTWA POLSKI WESTERN I RODEO, KARPACZ

3-11.08.2007 – 62 MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL CHOPINOWSKI, DUSZNIKI-ZDRÓJ

05.08.2007, GODZ. 8:00 – 14:00 – GIEŁDA STAROCI, NUMIZMATÓW I OSOBLIWOŚCI, RYNEK ŚWIDNICKI

05.08.2007 – XVII WYŚCIG W KOLARSTWIE GÓRSKIM NA ŚNIEŻKĘ PUCHAR BURMISTRZA MIASTA KARPACZA

10-12.08.2007 – XIX ZŁOT MOTOCYKLI “KARKONOSZE FOR MOTORCYCLES”, SZKLARSKA PORĘBA

15-19.08.2007 – FESTIWAL ROWEROWY BIKE ACTION, SZKLARSKA PORĘBA

17-19.08.2007- BOLESŁAWIECKIE ŚWIĘTO CERAMIKI 2007 www.swietoceramiki.boleslawiec.pl

23-25.08.2007 – REGAŁOWISKO – REGGAE DUB FESTIVAL, OWW SUDETY, BIELAWA

Informacja Turystyczna w Świdnicy



WYGODNIE I BEZPIECZNIE, CZYLI PORADNIK TURYSTYCZNY

LETNIA WYPRAWA

Polacy znają się na wszystkim: na medycynie, na polityce, na samochodach, na pogodzie, a także na turystyce. A jednak choroby toczą nasze organizmy, polityków mamy, że szkoda gadać, na drogach pełno piratów, pogoda wciąż nie taka jak trzeba, a GOPR i TOPR ciągle mają pełno roboty. Może trzeba na okrągło przypominać o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, zachowania się w górach i elementach wyposażenia, choćby wydawało się to nudne i zbędne. Chyba trzeba, bo choć nie brakuje dziś turystycznych miesięczników, choć można czerpać wiedzę z Internetu, choć spory jest wybór podręczników turystyki, na szlakach spotyka się ludzi źle wyposażonych i źle zachowujących się. To bezpośrednia refleksja z jednodniowego wiosennego wypadu na Babią Górę. Co z tego, że sklepy pełne są rozmaitego sprzętu i to nie tylko drogiego, że każdy może odpowiednio się wyposażyć i że do zdudzenia wałkuje się zasady zachowania w górach? Oto na Perci Akademików, w środkowej stromej części pokrytej twardym śniegiem, z pasemkami lodu w zlebach spotkałem turystów zupełnie nieprzygotowanych do przejścia szlaku w zimowych warunkach. Z rozmowy wynikało, że byli pierwszy raz na Babiej Górze, a z Internetu (!?) dowiedzieli się, że Babia to, cytując: „*taka tam sobie górka*”. Pierwszy raz na Babiej i od razu na Perci Akademików. Niewiedza, ignorancja, brak doświadczenia, brak wyposażenia – jakże to typowe w wielu przypadkach. A tak niewiele trzeba, aby to zmienić. Wystarczy kupić dobry przewodnik wydany przez wydawnictwo specjalizujące się w tematyce górskiej (KRAJ, REWASZ, BEZDROŻA, SUDETY), a nie tłukące komercyjną „masówkę”, zaopatrzyć się w dobrą mapę i umieć ją czytać, a po nabyciu wiedzy o danym terenie odpowiednio przygotować się do wyjścia w góry. I to właśnie w internecie można zapoznać się z ofertą wspomnianych wydawnictw i wybrać właściwy przewodnik. A kiedy już przyjedziemy w góry, przestawmy się z „miejskiego” myślenia na „tryb górski”. Do każdego wyjścia w góry trzeba odpowiednio się przygotować. Niby wie o tym każdy, ale, jak wskazują wiosenne wypadki w Tatrach, nie każdy tę wiedzę wykorzystuje.

Nie można iść w ośnieżone góry, jak na spacer Krupówkami czy drogą w dolinie. A tak postępuje wiele osób, tak byli też wyposażeni wspomniani turyści spotkani na Babiej Górze.

Podstawą jest odpowiednie obuwie. Na dolinny spacer można pójść w tzw. „adidasach”, a nawet w modnych i praktycznych sandałach, ale już wyjście wyżej na szlak poprowadzony górkimi ścieżkami wymaga normalnych butów turystycznych. Choć to truizm, to wciąż spotyka się „adidasowców” i „trampkarzy”. Banalem jest przypomnienie, że but musi „trzymać w kostce”, po prostu musi i koniec. Dopóki nic się nie dzieje, może się wydawać, że to przesada, ale wystarczy źle postawić stopę na jakimś kamieniu czy korzeniu i może się to skończyć skręceniem stawu skokowego. A z takim urazem naprawę trudno wędrować. Wie o tym każdy, kto doświadczył takiej kontuzji. Lekkie skręcenie można rozmasować i po ściągnięciu elastycznym bandażem pokuśtykać dalej, gorzej, gdy nastąpi wewnętrzny wylew, a stopa spuchnie jak balon. Wtedy marsz staje się niemal niemożliwy, a leczenie trwa kilka tygodni. Trzeba o tym pamiętać. Porządne turystyczne buty chronią też stopę przed drobnymi otarciami, podrapaniem przez kolce jeżyn rosnących przy ścieżce czy ukąszeniem przez żmiję. A w wyższych górach, na szlaku w skale, o uraz jest bardzo łatwo i wtedy niskie „outdoorowe” buty mogą nie wystarczyć. Takie buty, nazwijmy je „terenowymi półbutami”, nadają się do wędrowki pieszej na nizinach, w dolinach, na łatwych i wygodnych ścieżkach i z niewielkim obciążeniem na plecach. Wystarczy zrobić taki eksperyment, by się o tym przekonać, zanim zrobi się błąd biorąc w góry nieodpowiednie, zbyt lekkie buty. Załadujmy plecak do ciężaru ok. 16 kg, załóżmy lekkie buty, np. „adidasy”, i przejdźmy się po najbliższej okolicy minimum 4 godz. Następnego dnia powtórzmy spacer już w prawdziwych butach turystycznych.

Po pierwszej przechadzce stopy będą zmęczone i bolące, a nawet spuchnięte, po drugiej nawet zmęczone, ale szybko zregenerują się i przestaną boleć. Pamiętajmy, że to niesiony ciężar powoduje zmęczenie stóp, a nie pokonywana odległość. Wszak stopy przejmują ciężar ciała i dodatkowe 10, 15, 20 kg wyposażenia. Na końcu fragmentu o butach mała uwaga: buty „supermarketowe” za 80-100 zł często okazują się nawet nie na jeden sezon. Wykonane bywają z kiepskich materiałów, choć na pierwszy rzut oka ładnie i porządnie wyglądają. Albo szybko drze się wewnętrzna wyściółka ujawniając plastikowe usztywnienie (ucisk, odparzenia, bąble), albo przeciekają, choć nie widać żadnych pęknięć lub dziur. W każdym razie lepiej dołożyć jeszcze 50, 100 zł i kupić prawdziwe buty turystyczne.

Pakujemy się. Pakujemy się na dwa sposoby. Inaczej, gdy zakładamy bazę w dolinie – w pensjonacie, na kwaterze, domu wycieczkowym, schronisku, hotelu, inaczej, jeśli zamierzamy wędrować od schroniska do schroniska. W pierwszym przypadku najczęściej przebywamy do górskiej miejscowości samochodem i wtedy można spakować się w turystyczne torby. Jeśli korzystamy z publicznego transportu, musimy zmieścić się w „bazowym” plecaku, podobnie jak na wielodniowej wyprawie „od do”. Dysponując samochodem można zabrać wiele rzeczy: sprzęt, ubrania i drobiazgi niemal bez ograniczeń. To ułatwia dysponowanie wyposażeniem w czasie pobytu, np. mokre po deszczu ubranie nie wyklucza wycieczki w następnym dniu, bo możemy wykorzystać zapas. Wyposażenie na wielodniową wędrowkę musi mieć uniwersalny charakter. Trzeba się liczyć z pewnymi niewygodami, które można wyeliminować niosąc np. spory zapas koszulek, bielizny, polarów itp., tylko że to wszystko musi sporo ważyć. Więc nie przesadzajmy. Pamiętajmy, że bielizna termoaktywna i prawdziwe polary dość szybko schną i nie trzeba poświęcać całego dnia na suszenie się po wędrowce w deszczu.

Pomijając indywidualne upodobania, a nawet dziwactwa (bo i takie bywają) trzeba zabierać przy wyjściu w każde góry, a powyżej 1000 m zwłaszcza, niezbędne drobiazgi. Są to lekka czapka z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne, ochraniacze na buty (stuptuty), cienkie rękawiczki – w skałę najlepsze kolarskie ze skórkowym spodem, apteczkę (plastry, opatrunki, bandaż, środek przeciwbólowy, woda utleniona – to minimum), mapę (są tacy, którzy idąc pierwszy raz nie mają nawet mapy), przewodnik (te z wymienionych wydawnictw mają odpowiedni format i treść), latarkę (najlepiej czołówkę), okrycie przeciwdeszczowe, kurtkę polarową lub sweter. Pamiętajmy, że nawet latem temperatura może po załamaniu pogody spaść z 30 do 10°C, co jest bardzo źle odbierane przez organizm.

Powyżej 2000 m można spodziewać się większych spadków temperatury i opadu gradu lub śniegu. Zatem na wycieczkach w Tatrach czy w Alpach warto mieć normalne rękawiczki i cieplejszą czapkę. Na dłuższych i dalszych wyprawach warto mieć drugą parę butów górskich. Nie można wykluczyć, że bucik rozsypie się nagle na ostrym dolomitowym piargu. Wtedy albo idziemy do sklepu w jakimś miasteczku, albo mamy zapas. Na niektórych alpejskich kempingach są sklepiki, gdzie można kupić buty, ale w innych górach już gorzej (np. w Pirenejach).

To tym razem tyle przypomnienia o podstawach wyposażenia. Dobrze jest, gdy mamy czas i określony termin wypadu. Wtedy warto rozpocząć pakowanie na tydzień przed wyjazdem. Ten czas pozwoli na zweryfikowanie wyposażenia i uniknięcie nadwyżek oraz braków. Pośpiech jest złym doradcą i pakowanie w dniu wyjazdu niemal zawsze kończy się jakimś niedociągnięciem. Czasem zabraknie czegoś nieistotnego, a czasem nieuwaga przy pakowaniu spowoduje np. niemożność zjedzenia ciepłego posiłku na zimowym biwaku, a to z powodu niezabrania zapalek lub zapalniczki. Znam taki przypadek osobiście i przyznaję szczerze, nie było to miłe. Dobrze, że było to w Beskidach i następnego dnia przechodząc przez wieś kupiliśmy zapaliki. Jednak wieczór i poranek z resztką zimnej herbaty do przyjemnych nie należały. Uniknięcia przykrych niespodzianek na szlaku życzy

Julek Wystouch



Na kolekcjonerskim szlaku – "4K"

KRAJOZNAWCZE ODZNAKI KOLEKCJONERSKIE (3)

Dzisiaj przedstawię załącznik do regulaminu odznak kolekcjonerskich traktujący o zasadach sędziowania na imprezach kolekcjonerskich. Przypomnę, że Komisja Krajoznawcza Zarządu Głównego PTTK ustanowiła system krajoznawczych odznak kolekcjonerskich, na który składają się:

- odznaka popularna „Chomik” dla młodzieży szkolnej,
- stopień podstawowy „Plakietka zbiorów krajoznawczych” i „Ekslibris krajoznawcy bibliofila”,
- odznaka „Kolekcjoner krajoznawca” srebrna dla średnio zaawansowanych,
- odznaka „Kolekcjoner krajoznawca” złota dla zbieraczy o dużej aktywności i wyrobieniu specjalistycznym.

ZASADY SĘDZIOWANIA IMPREZ KOLEKCJONERSKICH PTTK

1. USTALENIA WSTĘPNE

1.1 Zbiory krajoznawcze, których posiadacze ubiegają się o odznaki kolekcjonerskie powinien oceniać zespół złożony z trzech sędziów mianowanych przez Zespół ds. Kolekcjonerskich Komisji Krajoznawczej ZG PTTK. W składzie zespołu oceniającego musi być co najmniej jedna osoba mająca uprawnienia sędziego lub upoważniona do sędziowania i przewodzenia. Do czasu mianowania dostatecznej liczby sędziów Zespół ds. Kolekcjonerskich może upoważnić instruktora krajoznawstwa (co najmniej w stopniu Instruktora Krajoznawstwa Polski) do pełnienia obowiązków sędziego. Upoważnienie może być wydane na podstawie rekomendacji zainteresowanej Komisji Krajoznawczej PTTK. Odstępstwa od tej zasady dotyczą wyłącznie punktów 2.2 i 3.3 regulaminu odznak.

1.2 Organizator wystawy ma prawo przeprowadzenia eliminacji dla nadesłanych (okazanych) zbiorów z uwagi na:

- a) zbyt wielką liczbę zgłoszeń w stosunku do możliwości ekspozycyjnych,
- b) dużą różnicę poziomu zbiorów.

Eliminacji powinien dokonać zespół złożony co najmniej z dwóch osób, w tym jedna musi mieć uprawnienia sędziowskie lub posiadać upoważnienie Zespołu ds. Kolekcjonerskich Komisji Krajoznawczej ZG PTTK do pełnienia funkcji sędziego.

2. WYMOGI KLASYFIKACYJNE ZBIORU

Każdy zbiór podlegający ocenie sędziowskiej jest rozpatrywany ze względu na jego elementy kolekcjonerskie (struktura zbioru) oraz elementy krajoznawcze (wartość poznawczą, popularyzatorską). Zbiór musi odpowiadać warunkom zawartym w punktach od 1.3 do 1.5 regulaminów krajoznawczych odznak kolekcjonerskich.

Elementy kolekcjonerskie:

- 1) sposób opracowania zbioru,
- 2) stan i dobór eksponowanych walorów,

Elementy krajoznawcze:

- 3) plan (koncepcja) i realizacja,
- 4) wybór tematu,
- 5) objętość zbioru.

3. ZASADY PUNKTOWANIA

Zbiór może uzyskać maksymalną notę sędziowską - 25 punktów. Za każde z wyżej wskazanych pięciu kryteriów można przyznać najwyżej po 5 punktów.

Każdemu zbiorowi, który ma podlegać werdyktowi sędziowskiemu przyznaje się wstępnie maksimum tj. 25 punktów, zaś ocena sędziowska sprowadza się do odejmowania punktów za usterki lub braki dostrzeżone przez zespół sędziowski.

4. ELEMENTY KOLEKCJONERSKIE

4.1 Sposób opracowania zbioru.

Maksymalna liczba punktów: 5.

Przyjmuje się jako warunek obowiązkowy, że zbiór powinien mieć:

- tytuł,
- wstęp wprowadzający,
- „metryczki” objaśniające poszczególne przedmioty ujęte w zbiorze.

Zbiór powinien być opracowany z maksymalną starannością i dbałością o jego wartość estetyczną.

Po 1 punkcie można odjąć za: brak tytułu, brak tekstu wprowadzającego, brak „metryczek” objaśniających, za „metryczki” niewystarczające lub błędne. Można też odjąć za nie dość staranne opracowanie zbioru 1 lub 2 punkty.

4.2 Stan i dobór eksponowanych walorów

Maksymalna liczba punktów: 5.

Stan eksponowanych przedmiotów powinien być bez zarzutu. Wyjątek stanowią mogą przedmioty pochodzące sprzed 1939 r. Za usterki, uszkodzenia, zanieczyszczenia itp. odejmuje się od 1 do 5 punktów.

Przedmioty eksponowane w zbiorze powinny odznaczać się nowatorstwem, odkrywczością i podkreślać krajoznawczy charakter zbioru. Cenne jest także to, że się je z trudem zdobywa. Za brak takich przedmiotów w zbiorze odejmuje się 1 lub 2 punkty.

5. ELEMENTY KRAJOZNAWCZE

5.1 Plan zbioru i jego rozwiązanie.

Maksymalna liczba punktów: 5.

Plan może być ustalony dowolnie, jednak musi uwzględniać charakter kolekcji. Należy też zawsze brać pod uwagę krajoznawczy punkt widzenia. Przyjęty plan musi być konsekwentnie realizowany w całym zbiorze.

Odejmuje się od 1 do 3 punktów; za brak określonego planu w zbiorze, za niezgodność kolekcji z planem lub za plan nie uwzględniający specyfiki zbioru 1 punkt, za plan ujmujący temat zbyt wąsko 1 punkt.

5.2 Wybór tematu.

Maksymalna liczba punktów: 5.

Ocenia się indywidualne ujęcie i rozwinięcie myśli, jaką zbiór ma wyrazić, swoistość i samodzielność pomysłu i twórczy sposób jego realizacji.

Za brak oryginalności odejmuje się od 1 do 4 punktów.

5.3 Objętość zbioru.

Maksymalna liczba punktów: 5.

Jako zbiór pełnowartościowy uznaje się zbiór pełny (kompletny) - punkt 1.5 regulaminów. Kompletność zbioru oceniają sędziowie oceniający na podstawie jego tytułu i wstępu wprowadzającego.



**Grupa krajoznawców-kolekcjonerów:
z lewej Teresa, z prawej – i Henryk Hadaszowie.**

Za zbiór pozbawiony niektórych koniecznych elementów odejmuje się 1 punkt. Za przedmioty zbędne w zbiorze odejmuje się 2 punkty, zaś za zbyt małą objętość zbioru - 2 punkty.

6. KLASY - GRUPY ZBIORÓW

Odrębnej ocenie podlegają zbiory dla następujących klas kolekcjonerskich:

- klasa zbiorów powszechnych,
- klasa zbiorów autorskich (punkt 1.5 regulaminów).

Organizatorzy wystawy mogą wprowadzić ponadto klasę honorową, w której eksponuje się zbiory sędziów i osób zaproszonych. Zbiory w tej klasie nie podlegają ocenie.

7. NAGRODY

Nagrody powinny być przyznawane za najlepsze zbiory wystawione w każdej klasie i grupie. Powinny mieć one charakter nagród rzeczowych. Najwłaściwszymi są dyplomy, plakietki, pomoce kolekcjonerskie, literatura fachowa i krajoznawcza, pamiątki regionalne. Nagrody powinny być zróżnicowane stosownie do klasy i grupy zbiorów.

*Opracował:
Henryk Paciej*



RECENZJE I NOWOŚCI

WYDAWNICTWO CARTA BLANCA

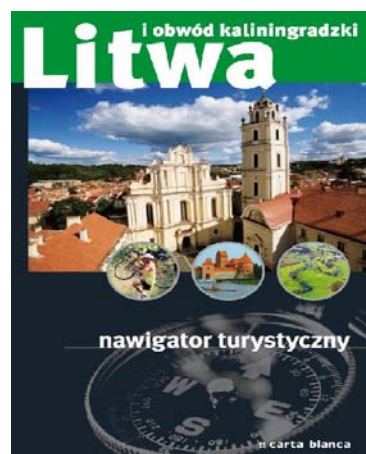
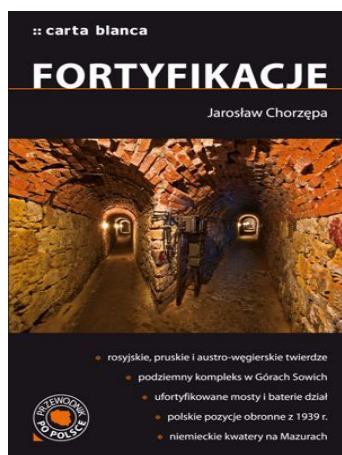
Nasza redakcja została zaproszona na konferencję prasową zorganizowaną przez Wydawnictwo Carta Blanca 18.05.2007 r. w ramach 52. Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Wydawnictwo to rozpoczęło działalność wydawniczą w 2004 r., a w 2006 r. weszło do Grupy Wydawniczej PWN stając się jakby „wydziałem kartograficzno-turystycznym” Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Do końca 2006 r. Carta Blanca wydała osiemnaście tytułów, na 2007 r. planowane są 22 tytuły. Popularyzuje się nowe formy publikacji będące połączeniem przewodnika i atlasu w jednym tomie.

Na uwagę zasługuje seria „Nawigator turystyczny”. Formuła tej serii jest dość prosta. Na dwóch sąsiednich stronach umieszczono fragment planu miasta, a dalej, na kolejnych stronach, są bogato ilustrowane opisy obiektów znajdujących się na zamieszczonym wcześniej planie. Zwiedzając jakieś nieznanne miasto mam w ręku plan i osobno przewodnik. Tu wszystko mieści się w jednej książce. W tej serii ukazała się już „Warszawa”, „Kraków i Wieliczka” oraz „Polska”, „Słowacja”, „Czechy i północna Austria” – tam są głównie mapy. Jest to dość zaskakujące połączenie atlasu z przewodnikiem, dla wielu turystów będzie świetnym „nawigatorem” po zwiedzanych regionach czy też miastach.

Doskonałym opracowaniem są „Fortyfikacje” Jarosława Chorzępy wydane w 2007 r. Jest to coś w rodzaju katalogu fortyfikacji z XIX i XX w. znajdujących się na terenie Polski – fortyfikacji polskich, pruskich, niemieckich, austrowęgierskich, rosyjskich i radzieckich. Od Świnoujścia po twierdzę Kłodzko i linię Mołotowa. Całość ilustrowana jest dużą ilością mapek, planów, rzutów itd. Są również informacje praktyczne – co koniecznie trzeba zobaczyć, a co (z różnych powodów) jest niedostępne do zwiedzania.

Kolejną książką jest dzieło znanego smakosza Piotra Bikonta „Polska: nawigator kulinarny”. Jest to przegląd restauracji, niestety, zwykle dość drogiej. Trudno mi się na ten temat szczegółowo wypowiadać, gdyż „turystyka kulinarna” nie jest moją specjalnością. Osób zainteresowanych tą książką raczej jednak nie zabraknie. Jak zawsze w serii „Nawigator” opisy restauracji są załącznikiem do mapy lub planu miasta.

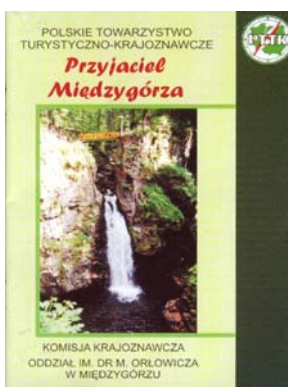
Podałem tu tylko przykłady publikacji wydawnictwa Carta Blanca. Nie ma sensu wszystkich omawiać – zainteresowanych odsyłam na stronę internetową www.cartablanca.com.pl. Jedno jednak zwraca uwagę, wysoki poziom zarówno edytorski, jak i merytoryczny. Jest to skrajne przeciwieństwo pewnego wydawnictwa turystycznego (nazwę z litości pomijam), które zasypuje polskie księgarnie makulaturą.



Przemysław Pilich

PRZYJACIEL MIĘDZYGÓRZA

Znany ze swej aktywności Oddział PTTK im. M. Orłowicza w Międzygórzu, leżącym u stóp Śnieżnika (1426 m) na Ziemi Kłódzkiej, tuż przed sezonem letnim wyszedł z nową inicjatywą. Ustanowił mianowicie Regionalną Odznakę Krajoznawczą „Przyjaciel Międzygórza”, uroczej miejscowości, która dzięki staraniom królowej Marianny Orańskiej w XIX w. przekształciła się z małej osady leśnej w popularny ośrodek wypoczynkowy i leczniczy, obecnie pełniąc ważną rolę punktu wyjściowego w Masyw Śnieżnika. Odznakę można zdobywać już w wieku pięciu lat, a jej drugi stopień – ośmiu. Wymogi nie są więc trudne, a wiążą się z obejrzeniem niektórych obiektów międzygórskich, jak np. słynnego „Giganta” czy Wodospadu Wilczki. W następnym etapie trzeba odbyć dalsze wycieczki, w tym oczywiście na Śnieżnik (szkoda, że powielono błędną wysokość tego szczytu) i do źródeł Nysy Kłódzkiej.



Podstawą przyznania jest wykazanie się potwierdzeniami w ładnie wydanej książeczce, ze zdjęciami i mapką okolic z naniesionymi obiektami. Zabrakło jednak wyjaśnienia (niektórzy tego potrzebują), jak potwierdzać pobyt w miejscach odosobnionych, w tym na Smrekowcu czy u źródła. W sumie to nie tylko zachęta do racjonalnego pobytu w Międzygórzu, ale miła i wartościowa pamiątka.

Krzysztof R. Mazurski



MOJE POŻEGNANIE ZE SCHRONISKIEM

Dzień 7 maja br. był oficjalnie ostatnim dniem funkcjonowania starego schroniska PTTK na Markowych Szczawinach pod Babią Górą. Nie mogło mnie tam nie być w tym historycznym dniu. Zasłużone schronisko na Markowych odwiedziłem kilkadziesiąt razy przez ostatnie 35 lat, więc trzeba było je odwiedzić w przełomowej chwili, krótko przed rozpoczęciem przebudowy.

Kiedy wysiadłem w Suchej Beskidzkiej, przywitał mnie szary i wilgotny poranek. Niegdyś przyzwoity i ożywiony dworzec otulony był mżawką, co dopełniało smutnego wrażenia opuszczenia i postępującej destrukcji. Czym prędzej opuściłem to miejsce, bo nawet toaleta zamknięta była na cztery spusty. Spóźnienie pociągu spowodowało, że uciekł mi pierwszy autobus do Zawoi, trzeba było trochę poczekać na następny. Ale nie narzekam. W Zawoi byłem na tyle wcześnie, że mogłem realizować misternie obmyślony plan wypadu. Zakładał dojeżdżenie do schroniska, krótki pobyt, wyjście na szczyt Babiej, powrót do schroniska i dotarcie do Katowic na wieczorny pociąg. Przy „rozrzedzonej” niedzielnej komunikacji było ryzyko, że może się to nie udać.

Pomaszerowałem zatem czarnym szlakiem na Markowe Szczawiny, nie widząc babiogórskiego masywu spowitego w chmury. Mżawka to gęstniała, to zanikała. Nawet w pewnej chwili pomyślałem sobie: „co ja tu robię?”. Ale szło się niezle, z dość lekkim plecakiem, wszak to tylko jednodniowy wypad. Zabrałem jednak zimowe wyposażenie, bo stan śniegu nie był mi dokładnie znany. Gdy dotarłem do schroniska, ujrzałem ledwo parę osób przed budynkiem, a spodziewałem się sporego tłumku. Był to przecież ostatni dzień „wielkiej majówki”. W schronisku też ledwo kręciło się parę osób. Jak się okazało, poprzedniego dnia było dużo turystów, ale prawie wszyscy wynieśli się w sobotę po południu, trochę za sprawą zmiany pogody na znacznie gorszą. Zrobiłem parę zdjęć wykorzystując przerwę w mżawce, ale jakoś brakowało motywacji do wyjścia w górę. To chyba przez tę kiepską pogodę. Czas upływał.



Wymyśliłem, że pójdę chociaż na Małą Babią, skoro już tu jestem. Idąc na Bronę zauważyłem, że im wyżej, tym lepiej się idzie. Na przełęczy skierowałem się ku Diablakowi. Pogoda typowo babiogórska. Widoczność w porywach 100-150 m i pogarszała się wraz ze wzrostem wysokości. Zaczynało wiać. Na Bronie wyprzedziłem małżeństwo z brzdącem w nosidle. *Wytrzepie ich wyżej, oj, wytrzepie.* – pomyślałem i żal mi się zrobiło dzieciaka. Dopiero za Złotnicą pojawił się właściwy „gwiazd babiogórski”.

Połowa tyczek orientacyjnych leżała powalona, widoczność spadła do 30 m, ale droga wygodna, bo grzbiet czysty, bez śniegu. Zastanawiałem się, gdzie jest ten śnieg, o którym była mowa w komunikacie o warunkach turystycznych. Zalegał w żlebach i dolinkach poniżej grzbietu na północnym zboczu. Na Diablaku było już parę osób. Kilka szło dalej ku Krowiarkom, inni zamierzali wracać tą samą drogą przez Bronę. Po chwili na szczyt dotarła para z maluchem, który słodko przespał wietrzysko, dobrze zapakowany i osłonięty. Cóż zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem? Obliczałem szanse dotarcia na wieczorny pociąg do Katowic. Tyle na zejście do schroniska, tyle na dojeżdżenie do Markowej, tyle do Policznego, tylko czy akurat przy niedzieli będzie coś jechało do Suchej albo do Krakowa. Na autobus do Katowic już nie miałem co liczyć. Będzie, co będzie.

Zacząłem schodzić Percią Akademików, która ku mojemu zdziwieniu była sucha jak wiór. Ani grama śniegu na podszczytowym gładzowisku. To chyba podpucha, śnieg na pewno będzie w Piarżystym Żlebie. No i był. Ścianka Czarnego Dziobu jeszcze sucha, a na półce pod nią już leżał śnieg i, jak się okazało, zalegał w dół do granicy lasu i jeszcze niżej. Pomacałem butem śnieg – twardy.

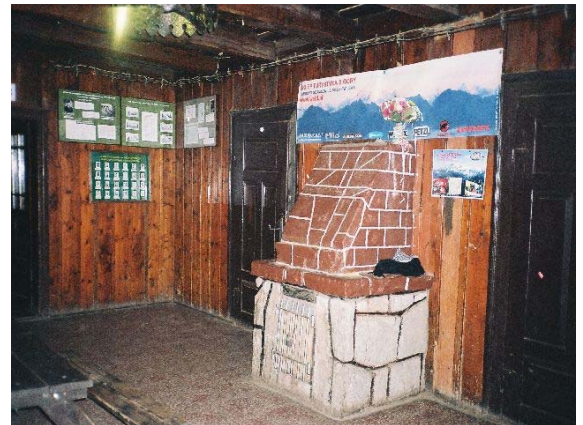
Wyciągnąłem raki i czekan, które bardzo się przydały, zwłaszcza niżej na zalodzonej odcinku perci. I właśnie w tym miejscu spotkałem piątkę turystów, którzy „na żywca” posuwali pod górę. Szczerze im odradzałem, ale uparli się. Ich przejście było bardzo ryzykowne, zwłaszcza przez zalodzoną rynienkę przed Piarżystym Żlebem. Nie mieli nawet rękawiczek, które bardzo by się przydały przy korzystaniu z łańcucha. Trzymanie się gołymi rękami zimnego i mokrego żelastwa do przyjemności nie należy.



Szybko zbiegłem do granicy lasu, gdzie leżał dowód rzeczowy nielegalnych harców na skuterach śnieżnych – kawałek czerwonej karoserii skutera z napisem *Arctic Cat*. Jak się dowiedziałem w rozmowie z szefem schroniska, fragmenty skutera były już zbierane przez goprowców, ale topniejący śnieg ujawnił kolejny kawałek. Nie dość, że uprawia się ten paskudny i nielegalny proceder, to jeszcze kierowcy skuterów nie potrafią posprzątać po sobie złomu. Miejmy nadzieję, że po tegorocznych sygnałach właściwe służby nie dopuszczą do motorowego wandalizmu w przyszłym sezonie.

Zejsście do Górnego Płaju i do schroniska to już spacer. Pogadałem jeszcze chwilę z Edkiem Chudziakiem o najbliższej przyszłości schroniska i ruszyłem w dół. Coś mi mówiło, że trzeba się spieszyć, więc pogałem do Markowej Zawoi. A tam już stał autobus. Ledwo wsiadłem, ruszył do Suchejej. Jeszcze spojrzenie w kierunku Babiej – przecierało się na niebie i coś tam było nawet widać. Skończył się babiogórski wypad i pożegnanie ze starym schroniskiem. Skończył się kawał historii w babiogórskiej turystyce. W wielu rozmowach ze znajomymi turystami słyszałem żal po starym schronisku i obawy, czy to nowe godnie je zastąpi. Wiele osób uważa, że stare schronisko, po oczyszczeniu z przybudówek, powinno zostać jako obiekt użytkowo-muzealny, powiedzmy z jedną salą sypialną, a nowe schronisko należało zlokalizować na pobliskiej Kolistej Polanie. Z polany jest wszak widok na Diablak. Pomysł dobry, ale Kolistka też jest wartością samą w sobie jako śródgórska polana.

Za dwa lata z kawałkiem zacznie przyjmować turystów nowy obiekt. Architektonicznie dopasowany jest do miejsca, a czy zapanuje w nim prawdziwa turystyczna atmosfera, to zależy głównie od nas turystów. Takie są plany. Wiadomo, że w górach buduje się trudniej, więc jeśli będzie poślizg, to nie zdziwmy się. Na Markowych wiele się zmieni, ale myślę, że w nowym schronisku zapanuje atmosfera tego starego, które ponad sto lat służyło turystom.



Juliusz Wystouch

* * *





Duch Karkonoszy Rübészahł, a nasz rodzimy Karkonosz.

„Na Szlaku” - miesięcznik turystyczno-krajoznawczy. Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK, odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński, Paweł Rumiński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Andrzej Rumiński.**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław. tel. 071 343 0344

Kontakt internetowy po kliknięciu na nazwisko. ISSN 1230-9931.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto

Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław

nr 38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.